



STACJE POGODY



OPISAĆ ZMIANĘ KLIMATU



PODZIĘKOWANIA



Zespół Stacji Pogody pragnie podziękować wszystkim osobom i organizacjom, które przyczyniły się do sukcesu projektu — zarówno podczas wydarzeń odbywających się w latach 2013-2015 w Londynie, Berlinie, Warszawie, Melbourne i Tallaght, jak i przy pracy nad niniejszą publikacją — między innymi Free Word, The Wheeler Centre, Tallaght Community Arts, Krytyce Politycznej i internationales literaturfestival berlin.

Zespół Stacji Pogody pragnie podziękować wszystkim osobom i organizacjom:

Krytyka Polityczna

Paweł Bloch; Wiesława Buniowska; Prof. Krzysztof Skóra & Helu Stacja Morska; Marta Konarzewska & Magda Majewska; Małgorzata Fijas

Tallaght Community Arts

Ruth Clancy; Jonathan Stokes; Jennifer Webster; Jane O'Hanlon; Coláiste de hÍde; Firhouse Community College; Mount Seskin Community College; Sue Hassett; The Intercultural Book Club

The Wheeler Centre

Sue Dwyer; Footscray City College

Free Word

Ashley Grey; Iluska Farkas; Angela McSherry; Sam Sedgeman

internationales literaturfestival berlin

Kerstin Deutschmann; Juliane Westphal; Prof. Dr. Torsten Schäfer; Club der polnischen Versager; Buchhandlung Buchbund

Weather Stations



Culture

Free
Word



Tallaght
Community
Arts

krytyka
polityczna

internationales literaturfestival berlin



The Wheeler Centre
Books Writing Ideas



Przy wsparciu Programu Kulturalnego
Unii Europejskiej

Pomoc udzielona przez Komisję Europejską przy wydruku tej publikacji nie stanowi wyrazu poparcia dla jej zawartości; odzwieczedla ona wyłącznie poglądy autorów, a Komisja nie ponosi odpowiedzialności za to, jak wykorzystane będą informacje zamieszczone w publikacji.

Weather Stations i Free Word pragną podziękować za pomoc następującym organizacjom:



Supported using public funding by

**ARTS COUNCIL
ENGLAND**

Tallaght Community Arts & Collective Action: Przy wsparciu:



Przy wsparciu Civic Theatre, Tallaght & South Dublin Libraries
a partnerem medialnym:

THE Echo

internationales literaturfestival berlin: Przy wsparciu:



Krytyka Polityczna (EN website): Przy wsparciu:



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Projekt współfinansuje m.st. Warszawa



Utwory zawarte w niniejszej antologii powstały na zamówienie dla Stacji Pogody, projektu opierającego się na współpracy między partnerami z pięciu krajów i zorganizowanego Publikacja sfinansowana przy wsparciu Programu Kulturalnego Unii Europejskiej. Pisarze i uczniowie z tych pięciu miejsc biorący udział w projekcie są autorami utworów zebranych w antologii.

© 2015

Autorzy zachowali prawa autorskie.

Wszystkie prawa zastrzeżone

Dalszych informacji udziela Free Word:
Sophie Wardell info@freewordcentre.com
www.freewordcentre.com

WPROWADZENIE



Wprowadzenie	6
Opisać Zmianę Klimatu — Pisarze-Rezydenci	9
<i>Morze plastiku</i> — Mirko Bonné, Berlin	10
<i>Powracanie [kolejne]</i> — Tony Birch, Melbourne	17
<i>Exegi monumentum</i> — Jaś Kapela, Warszawa	21
<i>Wspomnienia z wyspy</i> — Xiaolu Guo, London	24
<i>Szklanka wody</i> — Jaś Kapela, Warszawa	30
<i>Chodźmy na spacer</i> — Tony Birch, Melbourne	31
<i>Kremacja</i> — Oisín McGann, Tallaght	35
<i>O spustoszeniu Hofgarten w Düsseldorfie</i> — Mirko Bonné, Berlin	39
<i>Jak nie zatrzymałem globalnego ocieplenia. Dziennik klimatyczny zaangażowanego konsumenta</i> — Jaś Kapela, Warszawa	41
<i>Rybitwa</i> — Tony Birch, Melbourne	47
<i>Tysiąc słów na śnieg</i> — Xiaolu Guo, London	55
Refleksje Pisarzy	71
<i>Potem</i> — Xiaolu Guo, London	72
<i>10 rzeczy, których nauczyłem się walcząc z globalnym ociepleniem</i> — Jaś Kapela, Warszawa	74
<i>Żeby nam zależało</i> — Oisín McGann, Tallaght	76
<i>Być może ostatnia szansa na współistnienie w większej bliskości</i> — Wywiad z samym sobą — Mirko Bonné, Berlin	79
<i>Waga słowa</i> — Tony Birch, Melbourne	83
Opisać Zmianę Klimatu — Podstacje	87
O partnerach	137
O podstacjach	141
O pisarzach	144
O tłumaczach	147
Wykaz ilustracji	151

WPROWADZENIE



Zdaniem wielu zmiana klimatu to najważniejszy i najbardziej złożony z kryzysów, z którymi mierzy się ludzkość, fundamentalny imperatyw moralny naszych czasów. Stanowi nie tylko zagrożenie dla środowiska, ale też palący problem w zakresie praw człowieka, i wpływa na każdy aspekt naszego życia – stabilizację pokoju, poziom ubóstwa, zdrowie, dobre samopoczucie, masowe migracje i ekonomię. Aby nasza planeta nadal nadawała się do zamieszkania, zdaniem naukowców musielibyśmy obniżyć ilość dwutlenku węgla w atmosferze z jego obecnego poziomu w wysokości 400 części na milion do poniżej 350. Wiemy, że musimy zrobić wszystko, aby ograniczyć wzrost przeciętnej globalnej temperatury powierzchni Ziemi do dwóch stopni Celsjusza, jeśli poziom ludzkiej ingerencji ma nie być „niebezpieczny“ z naukowego punktu widzenia.

Choć coraz częściej przyznajemy, że trzeba zająć się wyzwaniami czekającymi nasze środowisko, trudno pozyskać masowe wsparcie konieczne do zmiany zachowań. Naukowcy mieszają nam w głowach statystykami, dziennikarze zarzucają faktami, a doniesienia o zmianie klimatu zbyt często są abstrakcyjne, ponure i nieatrakcyjne.

Stacje Pogody, osiemnastomiesięczny pilotażowy projekt z uczestnictwem pięciu organizacji partnerskich z Berlina, Dublinu, Londynu, Melbourne i Warszawy, próbuje temu zaradzić, czyniąc z literatury i narracji sedno rozmów dotyczących zmiany klimatu.

Każdy partner – lub „Stacja Pogody“ – mianował pisarza-rezydenta, który podczas pracy nad własną twórczością toczył dialog z naukowcami, filozofami, ekonomami, innymi pisarzami i czytelnikami. Pisarze podjęli też twórczą współpracę z uczniami miejscowych szkół (którzy, jak powiedział Tony Birch,

„skrzyli się od gniewu i entuzjazmu“), przedstawiając nowemu pokoleniu realia naszej zagrożonej planety i „powolnej przemocy zmiany klimatu“ oraz przekazując młodym obywatelom wiedzę, motywację i narzędzia konieczne do walki o bardziej świadomą ekologicznie przyszłość.

Powstała strona internetowa, brulion dla pisarzy i uczniów, aby mogli dzielić się ze sobą doświadczeniami związanymi z projektem – odkryciami, radościami i frustracjami, których zaznali podczas pracy; wszyscy pisarze odwiedzili wszystkie Stacje Pogody, aby poznać niepowtarzalny punkt widzenia każdego partnera na zmianę klimatu.

Zaowocowało to przejmującą i sugestywną twórczością zamieszczoną w tej publikacji. Znaleźć w niej można człowieczeństwo i poczucie humoru, kwestionowanie języka, „koniecznej do życia tkanki łącznej“ (Mirko Bonne), głęboką miłość do pewnych miejsc i natury, poczucie straty, strachu – i nadziei. Od poezji, opowiadań i komiksów począwszy, a na rapie, refleksjach i pamiętnikach skończywszy, każdy utwór podpowiada nam, jak – cytując Oisína McGanna – „znaleźć frapujące elementy życia codziennego i odnieść do bardziej dramatycznych pojęć na większą skalę“, połączyć to, co wiemy, z tym, co musi się zdarzyć.

Stacje Pogody opierają się na przekonaniu, że literatura może nadać idei człowieczeństwo. Pisarze tworzą światy; zagłębiając się w nie mamy możliwość współodczuwania z innymi, możemy zacząć wyobrażać sobie zmiany i współpracę na rzecz zrównoważonego rozwoju i sprawiedliwości społecznej. Autorów potrzebujemy też po to, aby tłumaczyli naukę, omijali politykę i ignorowali częstokroć zbyt wąskie, egoistyczne horyzonty finansów, a tym samym pokazali nam, jak możemy żyć inaczej, kierując się względami ekologicznymi, a nie ekonomicznymi.

Tomik ten ukazuje się tuż przed Konferencją Narodów Zjednoczonych w sprawie Zmian Klimatu odbywającą się w Paryżu w grudniu. Mamy nadzieję, że jego zawartość i używany w nim język pomogą zwrócić baczną uwagę na opowieści związane ze zmianą klimatu, które wymagają naszej natychmiastowej uwagi.

Jak pisze Anas Ahmadzai, londyński uczeń zainspirowany Martinem Lutherem Kingiem: „Nasze życie zaczyna zmierzać ku końcowi w dniu, w którym przestajemy mówić o ważnych rzeczach. Przerwijmy milczenie i zróbmy użytek ze słów w imię najważniejszych kwestii.“

*Partnerzy Stacji Pogody, wrzesień 2015 r.
Przełożyła Marta Dziurosz*

OPISAĆ ZMIANĘ KLIMATU – PISARZE-REZYDENCI

I tak oto się wije, czarno połyskując, owa wodna
zmija, pełznąc wokół krzewów, zarośli i ścieżek,
by przeniknąć czerwień przybrzeżnych
szuwarów. Cicha nieskończenie. Szum
wody, stłumiony, jej szemrzący szept jest
trudno usłyszeć, gdy rzeka w ustach
ma drewno, a na dnie – kamienie

MORZE PLASTIKU

— ● — ● — ● — ● —
Mirko Bonné, Berlin

Wąska wstęga wody, która się wije
pod jesionami albo może wśród robinii, częściej
jednak pośród starych brzoź, gdzie mieszkają kaczki,
ciche, płochliwe łyski; która trzęsawiskiem
pachnie w starej ciszy lasów Sztormarnu, Holsztyna,
wstęga, która potem wpływa do Hamburga,
nosi nazwę Alster, jest, od zawsze była
rzeką. Dwa jeziora w środku
wielkiego hanzeatyckiego miasta
powstały dopiero gdy Adolf III powrócił z wyprawy
krzyżowej do Ziemi Świętej i na jego rozkaz
pewien zdolny młynarz zablokował rzeczkę
grubą tamą, której uległ nawet
prąd Łaby. I tak sobie rosło Morze Północne
wewnątrz drewnianego miasta, a holsztyńskie wody
Wöddelbek, Rönne, Wischbeck i Lankau,
z Sielbek i Tangstedter Mühlenbach
płynęły, bez ujścia, bez końca,
zamiast się zatrzymać —
niemiłosierny
niepowstrzymywalny
żywił w ciągu kilku tygodni
stał się o wiele potężniejszy, szerszy,
by wreszcie najpierw Außenalster, a potem
Binnenalster (rozdzielone znacznie później)
stały się dwoma jeziorami, raz turkusu i zieleni,
innym razem turkusu oraz odcieni błękitu,

lecz zawsze pofałdowane przez zachodni
wiatr, osaczone szczelnie szuwarami, wciąż
uwielbiane przez ludzi. Od ośmiuset lat.
I tak oto się wije, czarno połyskując, owa wodna
żmija, pełznąca wokół krzewów, zarośli i ścieżek,
by przeniknąć czerwień przybrzeżnych
szuwarów. Cicha nieskończenie. Szum
wody, stłumiony, jej szemrzący szept jest
trudno usłyszeć, gdy rzeka w ustach
ma drewno, a na dnie — kamienie, płyty
styropianu z budowy, wyrwany krzak
jeżyn, który stanął na drodze,
a ona na chwilę porwała go
w objęcia, tak jakby zimną rzeka Alster
mówiła — ten, kto umie się bawić, na pewno
nie umrze. Rzeka jest czarna i podczas
powodzi wyższa o pół człowieka.
W 2014 roku, w Boże Narodzenie,
po długich ulewach, które spadły
na pola i ostatnie skrawki lasu
liściastego między Kaltenkirchen,
Bad Oldesloe i Duvenstedt,
żywcem wzięte z bajki
dopływy wpłynęły z potężnym
impetem do rzeki Alster, zmieniawszy ją w ciągu kilku
godzin w nieobliczalny żywioł, który raptem zmusił
mieszkańców do ustawienia wałów z ciężkich worków
z piaskiem, worków mających uchronić osiedla, domy szeregowe;
i która to rzeka, tam, gdzie była wcześniej ścieżka biegowa,
nad samiutkim brzegiem, wyrzucała gapiów
niczym — mówiąc z przekąsem — dryfujące drewno.
Ktoś policzył, że każdy z groźnych, skotłowanych głucho
czarnych metrów wody uderza z impetem ponad trzystu cystern
ustawionych jedna na drugiej. Nabrzeża, place
zabaw, zagajniki, ścieżki, również wiele ulic,
mosty, działki, kładki, wielka szopa
przy torach, pełna zapomnianego
Bóg wie kiedy złomu — to wszystko
zniknęło na długie tygodnie.
Dzieci pytały, czy
woda będzie zawsze
tak wysoka, tak ciemna i tak
bardzo zła. Owszem, powiedziałem
jakieś małej dziewczynce
z opaską na oku, od dziś
tak będzie zawsze. Tak.
A świat, świat
będzie czarny.
I sąsiad, stojący pod rękę
z małżonką, z niewidzialnym psem

przy nodze, spojrzął na zakole Alster, gdzie
wcześniej zakręcała ona ciemnozłotym blaskiem,
olśniewając brzeg, a następnie bacznie przyjrząwszy się
koszmarnemu bezmiarowi wody, sąsiad dodał
po cichu, że nigdy w życiu, od kiedy jako
chłopiec puszczał tu łódeczki, Alster
nie była taka, że nigdy nic takiego się nie zdarzyło,
nawet w najśmielszych snach nie mogliśmy się
tego spodziewać. Szybko — tak, aby rozbiegane źrenice
nie mogły dognać nurtu — rzeka mknęła pod mostem
kolejowym w Fuhlsbüttel dalej na
południe, w kierunku hanzeatyckiego
miasta. Gdy ujrzałem trzy plastikowe
zbiorniki, pomyślałem sobie, że można by
z nich zrobić tratwę. Mamy powódź, powiedział
zdumiony sąsiad. To powódź. Przecież zawsze
się to zdarzało, latem, zimą, jesienią,
a najczęściej wiosną, gdy odwilż
nawiedzała Sztormarn.
Ale tu, te czarne masy
wody, ten szlam?
Co to, to nie.
Alster, wciśnięta pomiędzy
kamienne skarpy, płynie przez Rödingsmarkt
i Herrlichkeit, by wreszcie, gdzieś na pograniczu
hamburskiego Neustadt oraz portugalskiej dzielnicy
ujść do Łaby. Wystarczy sześć godzin,
by statki parowe, frachtowce
i tankowce dotarły do morza z nurtem
pogłębionej rzeki. Trzy zbiorniki, tratwa, która nigdy
nie powstanie, bo nie jestem Tomkiem Sawyerem
ani Huckleberry Finem ani moja ukochana rzeka
nie jest żadną Missisipi, tylko rzeczka, nad którą często
staję, żeby popatrzeć na wodę i zadumać się
nad sensem wierszy; te trzy żalosalne
puste plastikowe zbiorniki dryfują
tygodniami od mostu kolejowego aż
do słonych wód Łaby pomiędzy Finkenwerder,
St. Pauli i Glückstadt. Ich plastik — odlany, uformowany,
perforowany i klejony pewnie w jakiejś fabryce
w Hangzhou, zanim przywieziono go
do Hamburga z mlecznobiałym milionem
identycznych zbiorników na pokładzie
olbrzymiego kontenerowca — potrzebuje, bez rozdrabniania,
około 850 lat, żeby się rozłożyć i zniknąć pod powierzchnią
ziemi, czyli dokładnie tak długo, jak w środku Hamburga
istnieją dwa jeziora na rzece Alster. Chociaż
z plastikiem jest tak, jak z duszą.
Ostateczne zniknięcie; nie,
nie ma czegoś takiego.

Arne Rautenberg,
kiloński poeta, w pewnym
wierszu ze zbioru „Rzadkie ziemie“
z sukcesem przemienił skażenie morza
w sztukę, swoją własną sztukę, w której dziękuje
(pływowi, promieniowaniu UV, ruchom falowym, ale też
planktonowi oraz morskim wirom) za to, że jest artystą,
który może żonglować kontynentami. Niech żyje
sztuka. Niech żyje ta jedyna, odwieczna i wieczna
radość, wolność w każdej sztuce! A to przecież znaczy,
że wszystko chce być sztuką — tak jak wszystko,
choćby odrobinę żywe, pragnie właśnie wolności.

W roku 1800 Friedrich von Hardenberg, znany jako Novalis,
Czyściciel Nowej Ziemi, używał plastiku jako kategorii estetycznej —
z przekonaniem pisał, że muzyka, poezja i plastik to elementy
nierozłączne w każdym wolnym dziele, obecne w różnych
proporcjach. Novalis myślał właśnie nad tym
w Burgenlandzie, w Weißenfels nad Soławą,
tworzącą z Muldą, Müglitz i Weißeritz
kraj rzek, którą kochał i gdzie spędził
życie. Wszystkie cztery rzeki wpadają do Łaby
i tam oto, w Soławie nieopodal Barby,
Novalis jako chłopiec chadzał
się kąpać, nago, często
głęboko w noc.

Hardenberg nigdy nie trzymał w dłoni
niczego z plastiku. Nic dziwnego. Nie istniały
wtedy sztuczne materiały, nie było ich nawet
w opaskach na włosy bardzo małych lalek,
nie było ich nigdzie w szumiących
nieskończone lasach; i zarówno
w ciszy, jak i w biciu dzwonów, nie było ich
w smrodzie kanalizacji ze starego świata. Kubki
po jogurtach, pokrywki, zegarki, folie, reklamówki, torebki
we wszystkich kolorach, rozmiarach i kształtach,
zabawki we wszystkich kształtach i kolorach,
zapalniczki, pudełka płyt CD, długopisy,
dywaniki w autach, jednorazowe
maszynki do golenia, kołpaki,
grzebień, spinacze, pudełeczka na pióra
i pudła na pudła, butelki, zakrętki, opony samochodów,
traktorów, ciężarówek, opony kombajnów, kubki, talerze
i sztucce, torby na chleb, etui kart do gry, specjalne opakowania,
osłonki na ramy luster, kanistry, jednorazowe krzesła, kubki jednorazowe
i jednorazowe stoły, wtyczki, gniazdka, listwy też jednorazowe,
okulary, niekończące się powłoki na kable, kable
w torbach, w workach pełnych opakowań,
w jednorazowych pudłach, skrzynkach
na jeden raz. Nic, zupełnie nic, nawet najmniejsza
część tego nie istniała w spokojnym, niezniszczonym,

nieopakowanym, nieokablowanym
świecie, gdy Novalis pływał
w Soławie, nie myśląc przecież
o tym, jak by tu spalić zbędny tłuszcz,
wzmocnić mięśnie czy wyrzeźbić klatkę
piersiową, lecz nad tym, czy biust
to pierś wyniesiona do rangi
tajemnicy, a fizyka to tylko
wytwór wyobraźni.

Plastikowe śmieci niesione przez
Łabę giną w większości w mrocznych
odmętach Morza Północnego. W osadach
obecnych na dewastowanym od dawna dnie
znajdują się niezliczone ilości małych
plastikowych części, głównie
cząstek włóknistych. Jak donosi
„Open Science“, pismo wydawane
przez brytyjskie Towarzystwo Królewskie,
jest ich dziesięć tysięcy razy więcej niż dużych
plastikowych odpadów, które dryfują w bardzo brudnych
wirach morskich, zbite w kontynenty ze śmieci —
łądy większe niż cała środkowa Europa.
Gdyby każdy kilometr kwadratowy
dna morskiego był jeziorem, to wszystkie te zbiorniki
byłyby zatkane, aż chce się powiedzieć: zaszere
biliardem ton plastiku aż po czubki
drzew sterczących na brzegach.

Nigdzie — na całej Ziemi, na biegunie północnym,
w Czarnym, Czerwonym albo Martwym Morzu,
na Wyspach Karaibskich bądź na Antarktydzie —
nie ma dużego zbiornika, wybrzeża albo plaży
wolnej od plastiku, piszą naukowcy
na czele z Lucy Woodall z Muzeum Historii
Naturalnej, którego dźwiękoszczelne okna
wychodzą na bezrybią, wyregulowaną, jakże
brudną Tamizę. Za siedmioma morzami
znajduje się prawie dwieście siedemdziesiąt tysięcy
ton plastikowych śmieci, a przynajmniej tak się szacuje.
Choć ta ilość przeraża, jest absurdalnie mała
jeśli ją porównać z kosmicznym ogromem
tworzyw sztucznych, które wszyscy
właściwie wyrzucamy do morza
— sześć i pół miliona ton,
ale kto jest w stanie
zważyć korek, którym
można zatkać świat?
Trzeba zadać pytanie: co z tym
całym brudem dobrobytu. Tylko skromny procent
odpadów unosi się w formie widocznych na powierzchni
cząstek. Fale rozbijają większe odpady, na ledwie widoczne

cząsteczki rozkłada je ultrafiolet. Jeśli osiadą na nich glony
lub inne małe stworzenia, to zatoną, opadną
jak statki, samoloty albo ciała zmarłych,
w ciemność, na samo dno.
Zespół Lucy Woodall zbadał już
dwanaście próbek osadu z dna oceanicznego,
które przez dwanaście lat, aż do 2012 roku
wydobywano sukcesywnie z Morza Śródziemnego,
południowo-zachodniej części Oceanu Indyjskiego,
a także z północnej części Atlantyku.
Cztery próbki koralowców
zbadano przy pomocy mikroskopu
oraz spektroskopu na podczerwień. We
wszystkich tych próbkach znaleziono mikrocząstki
plastiku, najczęściej włókniste, o długości dwóch-trzech
milimetrów, ale o grubości często dużo mniejszej
niż jedna dziesiąta milimetra. Próbki
zawierały przeciętnie trzynaście
i pół cząstki na pięćdziesiąt
mililitrów cieczy. Ponad połowa cząstek była
z wiskozy — która nie jest plastikiem, lecz włóknem
syntetycznym na bazie celulozy, stosowanym w filtrach
do papierosów oraz coraz chętniej przy produkcji odzieży.
Ryby, płaszczki, rekiny, wieloryby i żółwie nie potrzebują wiskozy,
dla nich jest ona trucizną, przez którą giną, jak każdy
na diecie z plastiku. Drugim materiałem najczęściej
występującym we wszystkich stworzeniach morskich
był poliestr — można śmiało mówić o poliestrowych
rybach, węzach wodnych, ośmiornicach
z poliestru. Być może cząsteczki
będą stawać się coraz mniejsze, aż się
skondensują w parze wodnej, i uniosą w powietrze
obłoki z poliestru czy wiskozy — plastikowe chmury.
Z powodu nikłej liczby próbek porównanie częstotliwości
i składu osadu było niemożliwe; lecz włókniste cząsteczki
występują podobno wszędzie, w każdej morskiej głębi,
w osadach nawet dziesięć tysięcy razy częściej
niż w zanieczyszczonych wirach morskich.
Szacuje się, że na jeden kilometr
kwadratowy osadu w gujotach
w Oceanie Indyjskim przypadają cztery
biliardy włókien plastiku. Wciąż się nie prowadzi
badań podwodnych dolin, kryjówek plastiku z całego świata, gdzie
króluje najczarniejsza z nocy: brak słońca, gwiazd i nic nie rozświetla
mroku. A jednak właśnie tam oddycha wielki świat niestrudzonych
gwiazd kąpiących się w niebieskim oceanie nieba.

Przełożyła Jolanta Kossakowska, zredagowała Katarzyna Fetlińska

POWRACANIE [KOLEJNE]



Tony Birch, Melbourne

We wrześniu i październiku 2014 roku, w ramach projektu Stacje Pogody, odwiedziłem Berlin, Dublin, Londyn, Warszawę, Gdańsk oraz Hel. Pracowałem tam ze społecznościami lokalnymi oraz szkołami. Ogromnie dużo mnie to nauczyło. Mocno mnie zaskoczyły pewne rzeczy, które z tego wyniosłem. Często słyszałem: „oczywiście wy tam macie dużo gorzej“ (w odniesieniu do zmian klimatycznych); była to swoista refleksja na temat widzialnego aspektu tego kataklizmu. Wszyscy wiedzieli o pożarach buszu w Australii (które znowu szaleją), o suszach, o uszkodzeniach Wielkiej Rafy Koralowej, wszyscy komentowali zrozumiąle, aczkolwiek bardzo ograniczone zaangażowanie w tę kwestię.

Historycznie rzecz biorąc, pożary buszu w Australii mają niewiele wspólnego ze zmianami klimatu. Były i nadal są naturalnym zjawiskiem przyrodniczym. To oczywiste, że wraz z ocieplaniem się planety (rok 2014 może się okazać najcieplejszym w historii), pożary będą wybuchać częściej i z większą siłą. I choć niektórzy w Australii akceptują wpływ zmian klimatycznych na wzrost częstotliwości pożarów buszu, jednak na poziomie psychologicznym oraz intelektualnym reagujemy na pożary jak na katastrofę, z którą należy walczyć, stawiać jej opór i pokonywać — również wtedy, gdy ogarnia nas smutek. Nawet, gdy dotykająca nas klęska żywiołowa związana jest z jakimś głębszym problemem, język, jakiego używamy do opisanja swojej reakcji, pozostaje zakorzeniony w języku militarnym. Walczymy i pokonujemy wroga. W obliczu wszechobecnej powodzi wywołanej zmianą wzorców pogodowych, ale także, i to w nie mniejszym, jeśli nie większym stopniu, przez nieodpowiedzialną urbanistykę, pozostajemy Queenslanderami, jakby ta bohatera etykieta zapewniała jakiś specjalny status grupce ludzi dość odważnych, by z tym wszystkim walczyć — aż do następnej powodzi.

Negatywny wpływ zmian klimatycznych na środowisko nie przejawia się w samych tylko nagłych wybuchach aktywności meteorologicznej. Zmiana klimatu nie jest po prostu zjawiskiem z niedalekiej przeszłości lub czymś, co dopiero nadejdzie. Wpływa na nasze życie stopniowo, ale w sposób dogłębny. Oddziaływania zmian klimatycznych

Czytam ile się da na temat politycznych i naukowych kwestii związanych ze zmianą klimatu. Rozmawiam o tym z jak największą liczbą osób. Włączyłem się w ten projekt jako pisarz i nauczyciel. A jednak coraz bardziej interesuje mnie nie tyle potęga języka, co jego ograniczenia. Planeta ziemską jest daleko potężniejsza niż wszelkie słowa czy opowieści, które ludzie jej przypisują.

na życie planety nie powinno się redukować do chwytliwych haseł czy dramatycznych obrazków, takich jak dewastacja wywołana przez pożar buszu. Gdy wracam pamięcią do Czarnej Soboty w 2009 roku i do straszliwych pożarów szalejących w stanie Wiktorii, przypominam sobie, że warunki pogodowe poprzedzające ten weekend należały do ekstremalnych. Jednak większość ludzi nie wie lub też zapomniało, że w Wiktorii więcej osób zmarło w wyniku wyjątkowych upałów jeszcze przed wybuchem pożogi niż w samej pożodze. Bez wątpienia, traumatyczne doznania oraz spustoszenie wywołane przez pożary wpłynęło w sposób bezpośredni i wstrząsający na życie tych, którzy ich doświadczyli. Większość z nas wie niewiele albo zupełnie nic na temat setek zgonów, które nie miały nic wspólnego z pożarami. Wiemy natomiast wszystko na temat efektu cieplarnianego. I dlatego nie zastanawiamy się nad kwestią, która nie znika pomiędzy sezonami pożarów, a mianowicie nad tym, że zmiana klimatu zachodzi nieustannie. Ludzie w innych częściach świata oglądają obrazki z pożarów w Australii migające na ekranach telewizorów i w efekcie uważają mój kraj za największą Ofiarę Globalnego Ocieplenia. Ich życie, podobnie jak nasze, ulegnie zmianie. Nie w sposób szokujący i budzący grozę, lecz ukradkiem. Weźmy na przykład topniejące koło podbiegunowe — topnieje ono zbyt wolno, by jakikolwiek półminutowy filmik na YouTube odbił się szerszym echem, lecz na tyle szybko, by zmienić tę planetę bardziej, niż zmieniła się w ciągu tysięcy lat.

Wczoraj wybrałem się znowu na spacer brzegiem swojej rzeki, rzeki Yarry w Melbourne. Już kilka razy o niej pisałem w ramach Stacji Pogody. Podszedłem do tego tak peryferyjnie, nieświatowo i być może nawet zaściankowo, jak się tylko dało. Nie jestem do końca pewien dlaczego, ale zdaje mi się, że to tutaj, nad tą rzeką, uda mi się zrozumieć globalne ocieplenie. Czytam ile się da na temat politycznych i naukowych kwestii związanych ze zmianą klimatu. Rozmawiam o tym z jak największą liczbą osób. Włączyłem się w ten projekt jako pisarz i nauczyciel. A jednak coraz bardziej interesuje mnie nie tyle potęga języka, co jego ograniczenia. Planeta ziemską jest daleko potężniejsza niż wszelkie słowa czy opowieści, które ludzie jej przypisują.

Wczoraj, gdy już miałem oddalić się od rzeki, dotarłem do mojego ulubionego zakrętu. W tym trwającym zaledwie sekundę czy dwie momencie poczułem zapach rzeki sprzed ponad czterdziestu lat. Poczułem pamięć rzeki w swoim ciele. To była fizyczna, a jednocześnie psychologiczna reakcja. A potem pojawiła się myśl, że nie ma słów, nie ma nawet jednego słowa, za pomocą którego mógłbym to uczucie opisać.

Było mi z nim dobrze.

Przełożyła Anna Blasiak



Oisín McGann

EXEGI MONUMENTUM



Jaś Kapela, Warszawa

zbudowałem pomnik
trwalszy niż ze spiżu
tylko dzisiaj
z plastikowej butelki
opakowania jogurtu
puszki po piwie
gumy do żucia
trzech torebek foliowych
gdy zjem i wypiję
będą się rozkładać przez 450 lat
do tego parę opakowań
o których nie mam pojęcia
ile się będą rozkładać
na pewno dłużej niż ja
o makulaturze nie mówię
ona mnie nie przetrwa
nawet gdybym pisał wiersz
na każdej otrzymanej
papierowej torebce
torebki to jedno
dwutlenek węgla to drugie
10 ton czarnego złota
aktualnie w stanie gazowym
krąży nad moja głową
i dobrze że krąży
bo nie miałbym go gdzie trzymać
10 ton tylko w tym roku

zbudowałem pomnik
trwalszy niż ze spiżu
tylko dzisiaj
z plastikowej butelki
opakowania jogurtu
puszki po piwie
gumy do żucia
trzech torebek foliowych

w poprzednich nie mniej
300 ton do trzydziestki
a nie planuję jeszcze za bardzo umierać
(choć są tacy którym zdarza się planować to za mnie)
kilka ładnych tirów
na przedmieściach domek
z dwutlenku węgla, odpadków i dymu
i to wszystko moje
moje moje moje
my precious
wyobraźcie sobie że mówię to jak Gollum
zresztą nawet wyglądamy podobnie
zbudowałem pomnik trwalszy niż ze spiżu
ty też go zbudowałeś
każdemu jego Mordor
a niektórym także kawałek cudzego

WSPOMNIENIA Z WYSPY



Xiaolu Guo, Londyn

1. Wyspa North Sentinel

W filmie jest wyspa. Ten dokument o wypłowiących kolorach nie daje mi spokoju, od kiedy obejrzałam go piętnaście lat temu. Nakręcono go z łódki niedaleko brzegu. Pasażerowie łodzi mieli utrwalić zachowanie mieszkańców wyspy. Długi obiektyw kamery patrzy na nagich mężczyzn z plemienia, gorączkowo biegających po plaży. Nasi ucywilizowani, nowocześni dokumentaliści obserwują ich z morza — boją się zejść na brzeg. Kiedy myślę o tych obrazach, kojarzą mi się z wczesnymi filmami antropologicznymi Roberta J. Flaherty'ego albo Jeana Roucha. Agresywny taniec wyspiarzy na zawsze pozostanie dla mnie symbolem niewinności.

To Sentinelczycy, zamieszkujący wyspę North Sentinel w archipelagu Andamanów na Oceanie Indyjskim. Przez tysiące lat żyli w izolacji od reszty świata i słynęli z wrogiego nastawienia względem ludzi z zewnątrz. Ci surowi, czarnoskórzy, smukli ludzie o silnych nogach, przypominający mieszkańców Afryki, biegali po trawiastych równinach niczym pantery. Widać to nawet na nieostrzych ujęciach nakręconych z oddali kamerą na łodzi. Poza operatorem byli na niej trzej inni ludzie, w tym hinduski antropolog o zamyślonej twarzy. Podróż ta miała być „ekspedycją kontaktową” z plemieniem na wyspie. Tak się jednak nie stało. Na filmie widać, że im bardziej łódź zbliża się do wyspy, tym gniewniejsi są członkowie plemienia. Podnoszą dzidy i krzyczą na nadpływających dokumentalistów. Wygląda to tak, jakby już mieli zaatakować najeźdźców. Kamera dalej filmuje gestykulujących tubylców. Od czasu do czasu wypuszczają w stronę łodzi salwę strzał. Łódź pozostaje na falującym, targanym wiatrem morzu, na głębokich, zdradliwych wodach, gdzie miejscowym trudno byłoby dopłynąć. Zamyślony antropolog mówi coś do jednego z kolegów, a ten zaczyna krzyczeć coś do wyspiarzy w niezrozumiałym języku, jednocześnie unosząc dwa kokosy i kilka bananów w próżnym geście przyjaźni. My — współcześni widzowie — bez trudności pojmujemy taki język ciała, ale na Sentinelczyków on nie działa. Dalej nie posiadają się z wściekłości na brzegu, celując w łódź dzidami i strzałami.

Film opatrzony jest staromodną narracją w stylu typowym dla BBC. Lektor wyjaśnia, że wcześniej tego samego dnia łódź zbliżyła się do plaży na tyle, że jeden z załogantów mógł wyskoczyć z żywą świnia w ramionach. Udało mu się błyskawicznie przywiązać świnie do drzewa na plaży i biegiem wrócić na pokład. Twórcy filmu zaczęli się potem rozglądać po dżungli za plażą w oczekiwaniu na reakcję. Z początku nikt się nie pojawił, a świnia z cywilizowanego świata była jedyną żywą istotą w zasięgu wzroku. Jednak po jakimś czasie spomiędzy cieni drzew wyłoniło się stopniowo kilka czarnych ciał. Miejscowi wyglądali na przerażonych obcymi na morzu i świnia. Przybywało ich coraz więcej; nieśli dzidy i łuki. Wykonawszy w stronę filmowców agresywne gesty zarznęli świnie, ale nie zabrali jej ze sobą. Zakopali ją. Potem odeszli tam, skąd przyszli.

Nie jestem pewna, kiedy powstał ten dokument, ale na pewno było to trzy lub cztery dekady temu, zapewne w latach siedemdziesiątych. Lektor informuje mnie, że Sentinelczycy byli jednym z ostatnich ludów zbieracko-łowieckich na świecie. Z powodu ich wrogiego zachowania względem obcych nikt nie ingerował w życie na wyspie. Podczas ostatniego spisu ludności w 2001 roku rząd Indii doliczył się tam trzydziestu dziewięciu mieszkańców. Liczbę tę uzyskał jednak z oddali: przeprowadzający spis liczyli w przybliżeniu z łodzi lub helikoptera. Niektórzy mieszkańcy zapewne chowali się wtedy w jaskiniach. Oszacowano, że ogółem żyje tam może dwieście osób. Nie wiadomo, jakim posługiwali się językiem. Nieznana była też ich religia czy tożsamość etniczna. Antropolodzy uznali jednak, że są to bezpośredni potomkowie ludów zbieracko-łowieckich z Afryki. Przybyli na wyspę zapewne około 50,000 lat temu i do dziś nie zmienili stylu życia. A właściwie nie do dziś — najświeższe wieści o wyspie pochodzą z 2006 roku, kiedy to wyspiarze zabili dwóch rybaków z Indii, którzy za bardzo się zbliżyli. Teraz uważa się, że Sentinelczycy wymarli. Rząd Indii wciąż jednak nie zezwala obcokrajowcom na dostęp do tego miejsca pełnego brutalnych tajemnic. Nie zweryfikowano więc hipotezy o wymarciu miejscowych.

2. Wyspiarska mentalność

Czy naprawdę istnieje coś takiego, jak wyspiarska mentalność, inna od mentalności mieszkańców stałego lądu?

Zamieszкана wyspa to szczęście w nieszczęściu. Mieszkanie na wyspie, nawet tętniącej życiem, wymaga liczenia się z ograniczeniami zasobów. Wyspiarze muszą albo wypuszczać się na niebezpieczne, nieznane wody w poszukiwaniu pożywienia, albo pozostać na miejscu i radzić sobie z ograniczonymi zapasami. Mieszkańcy stałego lądu nie mają tego problemu. Na stałym lądzie nie ma granic, których nie dałoby się przekroczyć. W dawnych czasach zawsze znalazły się juczne zwierzęta, dzięki którym można było przewieźć towary przez góry, a we współczesności przez każde drzwi można się przedostać, jeśli ma się pistolet. Chińczycy musieli przez wieki budować Wielki Mur, żeby się bronić. Stworzone przez człowieka granice jednak i tak nigdy nie wytrzymują próby czasu. Mongołowie podbili Chiny z siodeł, nie musząc nawet przekroczyć Wielkiego Muru. Palestyńczykom udało się wykopać pod strefą Gazy tunele, którymi transportowali w tę i z powrotem towary oraz ludzi. W idealnych okolicznościach ludzie nie musieliby mieszkać w miejscach wyznaczonych przez granice, ale mogliby nauczyć się żyć otwarcie. Otwartość pozwala ludziom przystosowywać się i zmieniać pod wpływem najróżniejszych okoliczności, czasem bardzo ciężkich. Nieustanne przeobrażenia map świadczą o zachodzeniu na siebie kręgów kulturowych i ich integracji, nawet jeśli w toku tych ciągłych podbojów i zasiedleń pewne ludy zyskują dominację nad innymi.

Wielka Brytania, gdzie teraz mieszkam, jest największą wyspą w Europie. W tej deszczowej, wietrznej krainie mieszka ponad sześćdziesiąt milionów ludzi,

rywalizujących o stanowiska pracy i możliwości, walczących o tak zwaną demokrację i wolność, które przyciągają tu wielu emigrantów z krajów trzeciego świata — a przynajmniej na początku. Jest to na pewno najbardziej zatłoczona wyspa świata zachodniego, bez względu na to, czy Szkocja się od niej odłączy, czy nie. Jednak nie jest to chyba najlepsze miejsce na szukanie przykładów wyspiarskiej mentalności.

Są dwa powody, dla których przynajmniej niektóre części Wielkiej Brytanii całkowicie wyzbyły się tego sposobu myślenia. Wyspa ta ma za sobą wiele najazdów — rzymski, normański, wikiński. Na przestrzeni wieków jej kulturę zmieniano, a politykę wciąż kształtowano na nowo. Po drugie Wielka Brytania miała swoje imperium. Rozrosła się spektakularnie poza swoje wybrzeża, aby pochłonąć jedną trzecią świata. Z kraju, który przewyciężył wyspiarską mentalność, pochodzą niektórzy z najwybitniejszych myślicieli świata nowożytnego.

Od kiedy tu przyjechałam, fascynują mnie podróżnicy i badacze, którzy opuścili granice tej wyspy, ludzie tacy jak kapitan James Cook czy Robert Louis Stevenson. Ten drugi był idealnym przykładem romantycznego awanturnika — po raz pierwszy wyjechał do Ameryki za kochanką. Potem kierowała nim nieustająca misja znalezienia idealnego miejsca zamieszkania. Pod koniec życia postanowił zadomowić się na polinezyjskiej wyspie Samoa, która była dla niego perfekcyjną siedzibą. Z wyspiarzami połączyły go silne więzy przyjaźni. Zmarł tam. Przed śmiercią napisał: „Czym chory, czy zdrow, miałem wspaniałe życie, uraz do nikogo nie mam żadnych, żalów bardzo niewiele... i nawet jeśli czeka mnie potępienie, nie zamieniłbym się z nikim z mi współczesnych“. Wierzę w szczerść jego słów — na tyle, na ile można wierzyć bajarzowi.

James Cook podbił wyspy i zginął z ręki wyspiarzy. Robert Louis Stevenson żył z nimi w zgodzie. Z czasem rasy się mieszają, tożsamości etniczne są coraz bardziej urozmaicone. A jednak wszyscy ludzie są homo sapiens. To oznacza posiadanie mentalności wyspiarza — nie jesteśmy w stanie pojąć, co leży poza granicami ludzkiego życia, nie wspominając nawet o zrozumieniu wszechświata. Jako gatunek wykształciliśmy ograniczoną perspektywę, agresywne nastawienie wobec innych. Uważamy, że ludzkie cele na tej planecie są najważniejsze. Wskutek tego ukształtowaliśmy obecny krajobraz, ale kosztem wyginięcia wielu innych gatunków. Doprowadziliśmy do przeludnienia, zanieczyściliśmy planetę Ziemię. Oczywiście nie bardzo obchodzi nas następne tysiąclecie, ponieważ nie zadajemy sobie nawet trudu, żeby sięgnąć myślą do czasów po śmierci naszych wnuków. Jeśli kiedyś wymrzemy, nasza opowieść będzie przypominać dzieje Sentinelczyków na ich odosobnionym skrawku dżungli otoczonym żółtym piaskiem. Plemię znika, wyspa pozostaje.

3. Wyspa Coochiemudlo

Niedawno pojechałam na inną wyspę na Południowym Pacyfiku. Jest znacznie mniejsza niż North Sentinel, liczy tylko pięć kilometrów kwadratowych. To wyspa Coochiemudlo u wybrzeży Australii, przy Queensland. „Coochiemudlo“ to aborygeńskie słowo oznaczające czerwoną ziemię. Na miejscu wyraźnie widać ciemnoczerwoną glebę, w którą zapuszczają korzenie eukaliptusy. Piasek na plaży też jest brązowoczerwony, choć nieustannie omywa go morze. Gleba pochodzi z prastarego wulkanu, co wyjaśnia obecność bujnej roślinności na wyspie. Największe wrażenie robi jednak szalona płatanina namorzynów. Czują się one najlepiej w słonej wodzie i tropikalnym lub subtropikalnym klimacie. Zagłębiają korzenie w wodzie morskiej, a potem odkładają sól na powierzchni liści. Ten proces ma w sobie magię, której my jesteśmy pozbawieni! Podobno jednak zwiększony rozwój namorzynów jest oznaką zmiany klimatu; woda morska pochłania coraz więcej łądu, a temperatura wzrasta z każdym rokiem.

W każdym razie Coochiemudlo jest z perspektywy romantyka niemal perfekcyjnym

przykładem wyspy. Jest niewielka; za dnia błękitna i słoneczna, a nocą jej niebo jest przepiękne, czyste i pełne gwiazd. Domy zbudowane są w stylu typowym dla Queensland: to podniesione drewniane konstrukcje o jednym lub dwóch piętrach z podrzewiałyymi, ale dość uroczymi werandami. Do każdego przylega spłachetek ziemi i każdego strzeże co najmniej jeden stary eukaliptus. Słyszałam, że na wyspie jest około 500 domostw zamieszkałych przez 700 osób. Przeciętny wiek wynosi około 52 lata i większość mieszkańców to oczywiście emeryci. Prom stanowi jedyny środek transportu między wyspą a stałym lądem.

Pojechałam na Coochiemudlo odwiedzić zaprzyjaźnioną rodzinę. Wcześniej mieszkali w Brisbane i Sydney, ale na starość przenieśli się na wyspę. Znacznie prościej jest żyć tam, gdzie są dwie ulice, biblioteka i sklep. Gdzie nie pójść, słysząc tylko szum fal i śpiew ptaków ukrytych wśród listowia drzew i krzewów.

Kiedy moi przyjaciele z wyspy i ja po raz pierwszy usłyszeliśmy ptaka na gałęzi eukaliptusa ćwierkającego jak telefon komórkowy, wybuchnęłam śmiechem. Dźwięk nadchodzącej wiadomości płynący z wysoka był przedziwny. Taki odgłos zdziwiłby na chwilę każdego, kto usłyszałby go podczas spaceru po cichej tropikalnej wyspie. Poszliśmy dalej i kolejny ptak na drzewie zaśpiewał melodyjkę jak z komórki. Zatrzymaliśmy się i wlepiliśmy wzrok w ptaka bezbłędnie naśladowującego niezbędną dla człowieka technologiczny gadżet. Zrobiło mi się smutno na myśl, że czyste śpiewy i niczym nieskażone zewy godowe ptaków zostały przeprogramowane. Nas ludzi było troje i każde miało telefon o innym dźwięku dzwonka. Ptaki już wychwyciły te różnice!

Byłam na wyspie kilka dni; każdego ranka spacerowałam po plaży, a potem, popołudniami, przedzierałam się ukrytymi szlakami po mokradłach, gdzie namorzyny brodzą w słonej wodzie. Żadnych supermarketów, samochodów czy miejskich scen. Któregoś wieczora wróciły do mnie te wypłowiałe kadry nakręcone z łodzi na Oceanie Indyjskim. Przypomniałam sobie Sentinelczyków mknących po plaży jak dzikie pantery. Zateśniłam za nimi, jakbym należała do ich plemienia, jakbym i ja pochodziła z tej tajemniczej krainy. Kiedy opuściwszy Coochiemudlo płynęłam promem w stronę Victoria Point na stałym lądzie, obejrzałam się na wyspę i zaczęłam się zastanawiać nad jej historią sprzed przybycia Brytyjczyków, sprzed dnia, kiedy łódź kapitana Jamesa Cooka osiadła na mieliźnie przy Wielkiej Rafie Koralowej. Podobno angielski badacz Matthew Flinders był pierwszym człowiekiem z Zachodu, który postawił stopę na tej niewielkiej wyspie, kiedy to pod koniec osiemnastego wieku szukał jakiejś rzeki w południowej części Zatoki Moreton. Stało się to dwadzieścia lat po tym, jak James Cook „odkrył“ wschodnie wybrzeże Australii. Jednak oczywiście jest, że przed Jamesem Cookiem i Matthew Flindersem Aborygeni żyli na tej ziemi od co najmniej 60,000 lat.

Poleciałam do Melbourne i zaczęłam się szykować do lotu do Anglii. Nie cieszyłam się na powrót do Londynu. Co tam na mnie czeka? Rachunki za prąd czy bilans od mojego dostawcy wody? Pewnie kolejne upomnienie o podatku lokalnym? I zapewne mnóstwo kolorowych ulotek od agentów nieruchomości. Wynajmowanie i kupowanie domów: oto obecna obsesja naszego miejskiego świata.

Przed odlotem do Londynu poczytałam jeszcze na lotnisku o archipelagu Andamanów i wyspie North Sentinel. Dowiedziałam się, że antropolog z dokumentu nazywał się T. N. Pandit. W końcu znalazłam fragment tekstu napisanego przez samego dr Pandita o jednej z jego ostatnich „ekspedycji kontaktowych“. Po dwudziestu latach usiłowań jemu i jego zespołowi udało się nareszcie skontaktować z Sentinelczykami w latach dziewięćdziesiątych. A przynajmniej dotarli do wybrzeża wyspy. Pandit pisze:

„Po dwudziestu latach wyspiarze wyszli nam na spotkanie z własnej woli — to było niewiarygodne. Chyba uznali, że nadeszła właściwa pora. Na pewno nie była to decyzja podjęta pod wpływem impulsu. Ale towarzyszył temu też pewien smutek — wyczułem

go. Było też poczucie, że na większą skalę ludzkiej historii ten lud, który trzymał się z dala, trzymał się swoich zwyczajów, ostatecznie musiał ustąpić.“

Smutek, doktorze T. N. Pandit. Chce pan powiedzieć, że ten smutek zrodził się z ostatecznej kapitulacji wyspiarzy — i wyrazili go poprzez sposób powitania nowoczesnych intruzów na swojej plaży? Smutek. Co za przenikliwy i przygnębiający opis. Wciąż jednak ciekawi mnie, dlaczego wyspiarze czuli smutek, skoro nigdy nie byli nigdzie indziej? Nie byli w stanie porównać tych dwóch światów. Może sama konfrontacja twarzą w twarz przekonała ich o przewadze nowo przybyłych. Jakimś sposobem członkowie plemienia wiedzieli, że intruzi czegoś od nich chcą, a co więcej — zmieniają ich na zawsze.

Wczytałam w raporcie dr Pandita, że ostatnie dwie setki mieszkańców North Sentinel zmarły. Jak to się dokładnie stało? Zabrakło jedzenia na wyspie? Wytrzebili wszystkie zwierzęta? Zaatakowały ich rekiny, kiedy łowili ryby przy brzegu? Kobiety powymierały przy porodach albo z powodu infekcji poporodowych? Tsunami lub trzęsienie ziemi zdziesiątkowały ludność? Może wszystko to się przyczyniło. Tylko wyspa wie, co przydarzyło się jej mieszkańcom. A jednak na stałym lądzie — subkontynencie indyjskim — populacja osiągnęła poziom ponad 1,2 miliarda. Tam wszędzie są ludzie. Nic poza ludźmi. Pozbawione domów dzieci mieszkają na ulicach, pozbawieni opieki ludzie umierają na ulicach, ale według rządu ekonomia ma się coraz lepiej. PKB zaczyna dumnie dorównywać wskaźnikom w Chinach i Stanach. Oto nasza najzwyczajniejsza ludzka opowieść: schemat wymierania i przyrostu, dwa bieguny naszej planety. Czy spojrzymy na przeszłość, czy w przyszłość, wiemy, że my, ludzie, mamy do dyspozycji tylko jedną wyspę, i tą wyspą jest nasza planeta Ziemia. Musimy więc być ostrożni.

Przełożyła Marta Dziurosz



Oisín McGann

SZKLANKA WODY



Jaś Kapela, Warszawa

podobno niektórzy
widząc tę samą szklankę wody
uważają, że jest w połowie pełna
a inni, że jest w połowie pusta
ja jednak wiem
że niezależnie od tego
czy jest pełna czy pusta
to można się w niej utopić
albo kogoś
bo są też tacy
którzy za tę wodę gotowi byliby zabić
są jeszcze inni
dla których szklanka czystej wody
pozostanie obrazem z filmu w telewizji
w którym nigdy nie wystąpią
bo role zostały w nim obsadzone już dawno temu
a castingu nie wygrali biedni, głodni i spragnieni
są też jeszcze inni
którzy tę szklankę
wyleją do zlewu
nawet nie myśląc o tym
że komuś innemu mogłaby uratować życie
sam czasem też do nich należę
więc polejcie mi wody
zanim umrę z pragnienia
żartuję
choć ktoś tu może umrzeć
to raczej nie będę ja
tylko oni

CHODŹMY NA SPACER



Tony Birch, Melbourne

Jak mówić o ukochanych miejscach? Jeśli nie jest się poetą, jeśli ma się skromne wykształcenie, jeśli nie można powiedzieć do nastoletniego kolegi „kocham to miejsce“, bo to obciach (dla wszystkich) i powód do drwin, a może nawet upokorzenia, to jak można wyrazić swoją zażartą lojalność i przywiązanie do konkretnego miejsca?

Gdy byłem nastolatkiem, pokochałem swój kawałek rzeki Yarra w centralnej części Melbourne. Mieszkałem na osiedlu Housing Commission, typowym dla brutalistycznej architektury wpisującej się w trend „likwidacji slumsów“ obecny na całym świecie podczas ery „rekonstrukcji“ po II wojnie światowej. Większość czasu na osiedlu spędzaliśmy wymyślając nowe sposoby na rzucanie sobą o betonowe ściany, które dominowały wnętrza naszych mieszkań, a także otaczające je tereny.

W szkole może trochę rozrabiałem, ale zawsze dużo i zachłannie czytałem. Moją ulubioną powieścią w czasie, gdy odkryłem rzekę, był „Kes“ Barry’ego Hinesa, którego akcja dzieje się po drugiej stronie świata, w ponurym mieście górniczym na północy Anglii. Główny bohater, Billy Casper, jest obiektem przemocy — w domu, na ulicy, w szkole i na piłkarskiej murawie. Billy lubi się włóczyć i zakochuje się w „naturze“ otaczającej jego miasto. Zakochuje się też w ptaku, pustułce.

Ta książka oddziaływała na mnie mocno i zostawiła swoje piętno na długo. Billy był mi bardzo bliski. Z czasem zacząłem podziwiać autora książki. Wydawało mi się to niesamowite, że pisarz mógł stworzyć historię, która zawędrowała na drugą stronę świata i wywarła na mnie tak mocny wpływ. Hines był pierwszym literackim bohaterem w moim życiu. I nadal nim jest. Gdy pisałem swoją pierwszą książkę „Shadowboxing“, codziennie rano, nim zabrałem się do pisania, myślałem o Billym Casperze i Kesie. Zastanawiałem się, czy — idąc śladem Barry’ego Hinesa — jestem w stanie napisać opowieść, która przemówi do nastolatków.

„Shadowboxing“, podobnie jak wszystkie moje kolejne książki, jest historią o rzece. Za każdym razem starałem się wyraźniej artykułować swoje głębokie przywiązanie do niej. Nie powiedziałbym, że nie udało mi się wyrazić w słowach tej więzi, jednak jest dla mnie jasne, że język oraz spisane historie jeszcze mnie w pełni nie usatysfakcjonowały. Tak zresztą powinno być w przypadku każdego pisarza, który próbuje wielokrotnie powracać do tego samego tematu wyrażonego przez naturę.

Ciekawsze jest dla mnie to, że jako nastolatek nie potrafiłem użyć języka do wyrażenia swojej miłości do rzeki Yarry. A teraz, gdy to już potrafię, słowa nadal mnie zawodzą. Może to i dobrze? Mój (nieco dojrzalszy) intelekt i kreatywność nie są w stanie wyrazić tej miłości — uczuć, jakie wzbudzała we mnie ta rzeka, gdy nią żyłem, chodziłem, pływałem i marzyłem o niej jako młody chłopak.

Wczoraj poszedłem na spacer wzdłuż Yarry ze swoją szesnastoletnią córką, Niną. Po drodze wstąpiliśmy na herbatę do mojej matki. Ma dobrze po siedemdziesiątce i całe swoje życie mieszkała zaledwie parę kilometrów od centrum miasta. Sporą część mojego dzieciństwa spędziliśmy przeprowadzając się z miejsca na miejsce, uciekając przed komornikami, policją i rządowymi buldożerami, ale nigdy nie przenieśliśmy się nigdzie daleko. Żyliśmy zgodnie z zasadą, której moja matka nauczyła się od swojej matki: „Jeśli wieczorem w łóżku nie słyszysz tramwajowych dzwonek, to mieszkasz za daleko.“

Po wyjściu od matki ruszyliśmy wzdłuż terenów zielonych oddzielających autostradę Eastern Freeway od wąskich uliczek wiodących w stronę rzeki. Kiedyś była tu ulica domów szeregowych, pełna dzieci, kuchennych stołów i ogródków ze szczekającymi psami. Nic z tego nie zostało. W pewnym miejscu zwróciłem Ninie uwagę na to, że stoi na progu domu z mojego dzieciństwa. Rozejrzała się wtedy dookoła, jakby szukała jakiegoś ducha. Dom, w którym kiedyś mieszkałem, został zburzony, by zrobić miejsce pod nową drogę. Był na tyle blisko rzeki, że leżąc wieczorem w łóżku w swoim pokoju, czułem zapach wody i słyszałem jej szum nad wodospadem Dights Falls, zaledwie kilkaset metrów od naszej tylnej furtki.

W latach, podczas których kręciłem się nad rzeką, były tu pozostałości po dziewiętnastowiecznej dzielnicy przemysłowej. Przędzalnie bawełny i fabryki ciągnęły się wzdłuż niższego biegu rzeki. Robotnicy z przędzalni mieszkali w ciasnocie w wąskich domach zbudowanych w cieniu tego kapitalistycznego przedsięwzięcia. Samo Dights Falls, wzniesione ponad „naturalnym“ wodospadem, jest dziełem rąk ludzkich. Napędzało turbinę w sterowni, która dostarczała wodę do przędzalni. Gdy nastały moje czasy nad rzeką, jakieś 100 lat później, i przędzalnia i sterownia były już w ruinie. Tym lepiej dla nastolatków szukających miejsca dla siebie.

Razem z Niną zrobiliśmy zdjęcia wodospadu i poszliśmy do sterowni. Ruina jest zabezpieczona, ale nadal wyczuwa się jej przeszłość; nieświeży smród stojącej wody na dnie, wilgotny mech porastający coraz wyżej czerwone, ceglane mury, odgłosy drapania dochodzące z ciemności poniżej, być może wywołane przez gnące się na wietrze nagie gałęzie drzew. A może przez szczury wodne, które, gdy byliśmy dziećmi, przechadzały się śmiało w błocie, pośród śmieci i chwastów. Pokazałem Ninie różne miejsca wokół wodospadu: tam, gdzie jeździliśmy na rowerach, gdzie skakaliśmy ze skałek do wody, gdzie znaleźliśmy wypalone wraki skradzionych aut. Nie wydaje mi się, by moje opowieści o czasach nastoletnich wzbudziły zazdrość Niny, ale wiem, że ona też ma w sobie pragnienie odkrycia własnych miejsc, miejsc poza kontrolą, z dala od wścibskich oczu urzędników, rodziców czy napastliwych kamer telewizji przemysłowej. Niełatwo jest znaleźć takie miejsca we współczesnym mieście. Mam nadzieję, że Nina się na nie natknie zanim będzie za późno, zanim dorośnie.

Zostawiliśmy za sobą wodospad i poszliśmy wzdłuż rzeki w stronę miasta. Mijaliśmy niezliczone rynsztoki, którymi śmieci płyną z ulic do wody. Gdy byłem mały, nietrudno było zobaczyć chemikalia wrzucane prosto do wody przez fabryki położone wyżej. Do lat 70. XX wieku dolny bieg Yarry był powszechnie traktowany jak dostępny dla wszystkich, przemysłowy ściek. Pływanie było niebezpieczne (o czym sam się kiedyś przekonałem, gdy po kąpieli w rzece dostałem ropnych czyraków i jakiejś dziwnej wysypki). W latach 70. XX wieku melbourneska gazeta The Age rozpoczęła kampanię „Give The Yarra A Go“ („Szansa dla Yarry“), której celem było rozpowszechnienie wiedzy o rzece oraz

edukacja obywateli. Kampania odniosła pewien sukces i rzeka zrobiła się czystsza (choć na przestrzeni lat zdarzyło się wiele wpadek).

Zatrucie mojej rzeki często mnie złościło. Widywałem martwe ryby w wodzie w pobliżu ujść ścieków. Albo smugi ropy czy farby unoszące się na powierzchni i spływające z nurtem. W tamtych czasach nie przyszłoby mi do głowy, że ekologiczne szkody wyrządzone mojej rzece można powstrzymać. Czułem się bezsilny. Moi rodzice byli bezsilni. Moja społeczność nie miała głosu. Mieliśmy tylko gniew. Kwestie związane z ochroną środowiska to była dla nas jedna wielka niewiadoma. Dziś jest inaczej. Dużo więcej wiemy. Mamy też jak wyrazić swoje obawy. A mimo to wielu z nas nadal żyje w poczuciu bezsilności.

Dlaczego tak się dzieje? Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Jest to jednak centralny koncept w moim myśleniu i pisaniu w ramach Stacji Pogody.

Porzuciliśmy rzekę i poszliśmy do sklepu Armii Zbawienia w Abbotsford. Nina kupiła wełniane blezer, a ja znalazłem t-shirt i koszulkę do biegania. Chodzę do sklepów charytatywnych od ponad 50 lat. Uwielbiam zapach tych miejsc. Pachną życiem, czy też raczej używaniem, w odróżnieniu od zużycia. Zatrzymaliśmy się, żeby zrobić jeszcze jedno zdjęcie przed kolejnym domem, w którym mieszkałem w latach 70. Nina zapytała, czy lubiłem życie w tym domu.

— Tak, byłem tu szczęśliwy. Zawsze byliśmy blisko wody.

Dom przeszedł generalny remont i jest teraz sporo wart. Pamiętam, jak przechodziłem koło niego wiele lat temu, gdy go odnawiano. Wtedy też byłem zły. Gdy myśmy wynajmowali ten dom, był pełen dziur w dachu, ścianach i podłogach. Wilgoć od ziemi sięgała sufitu, a jedynym źródłem ciepłej wody był tani piecyk. Wkurzało mnie, że trzeba było kogoś przy kasie, by przemienić ten dom w coś nadającego się do mieszkania.

Już w ten sposób nie myślę. Po prostu cieszę się, że choć jeden z domów mojego dzieciństwa nie został potraktowany buldożerem, żeby zrobić miejsce dla jakiegoś nowego, wspaniałego projektu. Na werandzie od frontu stał rower dziecięcy i para zabłoconych kaloszy. W tym domu mieszkają dzieci. Bawią się, płaczą i śpią. W tym domu mieszka ktoś, kto zajmuje się ogrodem, przycina róże i siada na krześle na werandzie od frontu w popołudniowym słońcu. Mam nadzieję, że kochają swój dom.

Przełożyła Anna Blasiak



Oisín McGann

KREMACJA

Oisín McGann

Nie mam pewności, kiedy zauważyłem, że drzewo jest martwe. Nie byłem nawet pewny, co to za drzewo — topola, może brzoza. Przedtem martwiłem się o nie głównie dlatego, że rosło blisko garażu niedaleko domu, w rogu ogrodu. Beton przy murze był popękany i wyglądało na to, że korzenie mogą kiedyś rozsadzić fundamenty. Jak często bywa w życiu, nie zwracałem na nie zbyt wielkiej uwagi, dopóki nie stało się problemem. Znajdowało się w ślepej plamce mojej świadomości: obecne, ale niezauważone. Ten olbrzym górował nad tyłami ogrodu i co najmniej dorównywał wysokością domowi, a ja nigdy nawet nie spojrzałem na jego liście, żeby sprawdzić, co to za drzewo.

Teraz zwróciłem na nie baczną uwagę.

Nie było jeszcze dojrzałe — miało jakieś dziewięć metrów wysokości, a pień mierzył u podstawy niecałe trzydzieści centymetrów. Ten chudy, tyczkowaty wyrostek jeszcze nie nabrał prawdziwych rozmiarów, ale już był dość wysoki, żeby pozostawić kłopotliwe zwłoki. Zdążyłem zauważyć, że kora pęka i odchodzi od drewna, na pewno z powodu jakiejś choroby. Byliśmy zajęci przy niemowlęciu, a potem dziecku i nastolatku, ja miałem jeszcze sporo do zrobienia przy odnawianiu domu i leczenie drzewa nie było dla mnie najważniejsze. Wkrótce jednak kora zaczęła odłazić ciężkimi, skórzastymi pasami, odsłaniając blade, nagie drewno. W szczelinach i szparach zrzucanej kory zadomowiły się mrowia stonóg. Wiosną nie pojawiły się liście i zrozumiałem, że mamy problem. Martwe drzewo, na tyle duże i na tyle blisko, że — gdyby się przewróciło — mogłoby uszkodzić dach, a nawet ścianę garażu.

Nie ono pierwsze groziło naszemu domowi. Kiedy po odbiorze kluczy przyjechaliśmy na miejsce, okazało się, że jeden z ciężkich konarów opadł z wiekowego kasztanowca, który rósł na tyłach ogrodu, w drugim rogu. Było to jedno z szeregu powykręcanych, starych drzew za domami; znajdowały się tam na długo zanim na tym terenie cokolwiek zbudowano.

Konar spadł bardzo niedaleko garażu naszych sąsiadów i nieomal wyrządził szkody idące w tysiące euro. Mieliśmy dom do remontu, pusty szkielet, któremu wciąż brakowało ogrzewania, kuchni, łazienek, a nawet drzwi — tyle pieniędzy miało przez następne kilka lat pójść na to miejsce, a teraz musieliśmy nagle zapłacić sześćset euro za ścięcie martwego kasztanowca. Pomijając fakt, że bardzo nie chciałem ścinać tak pięknego starego olbrzyma, po prostu nie było nas na to stać — ale nie mieliśmy wyboru. Gdyby drzewo się przewróciło, mogłoby zniszczyć garaż sąsiada, albo przebić się przez tyły naszego domu.

Jak często bywa w życiu, nie zwracałem na nie zbyt wielkiej uwagi, dopóki nie stało się problemem. Znajdowało się w ślepej plamce mojej świadomości: obecne, ale niezauważone.

Zajęło to cały dzień i trzeba było trzech ludzi, żurawia i traktora z przyczepą. Na dom sypały się pyliste kłęby trocin; chirurdzy drzew zaczęli od góry i posuwali się w dół, z rykiem pił łańcuchowych odcinali kolejne kawały i albo zrzucali je na ziemię, albo opuszczali na linach. Pod koniec części składowe starego kasztanowca zajmowały cały ogród, jakby czekały, aż ktoś na powrót je złoży.

Przyglądałem się w miarę możliwości, próbując się nauczyć, jak się to robi. Myślałem, że kto wie, kiedy przyjdzie mi samemu ścinać drzewo. Chirurdzy nie chcieli przyjąć kłód jako części zapłaty, a ja nie mogłem trzymać ich w ogrodzie — zajmowały zbyt dużo miejsca i zniszczyłyby nasz tylny trawnik. Kolejna rzecz, na naprawę której przez kilka lat nie będzie nas stać. Nie miałem piły ani umiejętności koniecznych do pocięcia wielkich kłód na polana nadające się do spalania. Zostawiłem więc sobie kilka bierwion, jednemu z przyjaciół dałem zabrać tyle, ile zmieściło się w jego samochodzie, a chirurdzy odjechali z ogromną przyczepą wyładowaną kłódami z naszego drzewa.

To było w 2010, tuż przed tym, jak Irlandię nawiedziła najcięższa zima od dziesięcioleci, kiedy to paliłem drewnem codziennie przez jakieś cztery miesiące. Drewnem, które musiałem kupić. Ależ sobie tamtej zimy plułem w brodę.

A potem obumarło drugie drzewo. Dostrzegłem ironię tego faktu. Jednym z powodów, dla którego cieszyłem się, że w końcu mam własny dom, była perspektywa zasadzenia kilku drzew z dzieciakami. Zamiast tego przeze mnie na świecie będzie o dwa drzewa mniej. Przez kilka tygodni było bardzo wietrznie i uwiązałem kruchy maszt martwego drewna najsolidniej, jak potrafiłem, kilkoma linami, martwiąc się, że upadnie, zanim uda mi się opanować ten upadek. Jednocześnie zacząłem szukać w internecie wiadomości o tym, jak ścinać drzewo. Na YouTube było mnóstwo pomocnych filmów instruktażowych — i jeszcze więcej takich, które demonstrowały wypadki mogące się przytrafić, kiedy idioci bez wiedzy ani doświadczenia brali się za wycinkę w stylu „zrób to sam”. Zniszczone dachy, ściany, samochody, rany cięte i tłuczone... wyglądało na to, że przy względnie niewielkim wysiłku można było wyrządzić niebywale szkody.

Dowiedziałem się też, że w Irlandii wynajęcie piły łańcuchowej jest niemożliwe — zapewne z powodu wyżej wymienionych idiotów i wynikających z ich poczynań amputacji. Nie traciłem jednak animuszu. Drzewo nie było ogromne i o ile uda mi się sprawić, żeby opadło na ziemię po przekątnej ogrodu, niczego nie uszkodzi. Nie będę nawet potrzebował piły łańcuchowej. Miałem kilka zwykłych pił i byłem pewien, że mi wystarczą.

Uwielbiam drewno we wszystkich odmianach. Uwielbiam chodzić po lasach i obrabiać drewno ręcznie, uwielbiam jego kolory i faktury, cięcie i kształtowanie go. Lubię je też palić: wolę ogień rozpalony drewnem niż torfem. Może i daje mniej ciepła i szybciej gaśnie — choć to zależy, jak dobrze jest wysuszone — ale też wypala się prawie całkowicie, pozostawiając bardzo niewiele popiołu w porównaniu w całymi stertami po paleniu torfu. Nie znoszę szarych kłębow popiołu unoszących się znad kominka przy jego czyszczeniu.

Palenie drewna jest też korzystniejsze dla środowiska. W lasach gospodarczych sadzi się nowe drzewa w miejsce ściętych. Rosnąc, młode drzewa chłoną węgiel, więc używanie drewna jako opału jest — teoretycznie — neutralne pod względem emisji dwutlenku węgla. O ile zastępujemy ścinane drzewa nowymi, nie uwalniają one związków węgla do atmosfery. Odtworzenie irlandzkich torfowisk zajęłoby natomiast setki, a nawet tysiące lat, o ile w ogóle byłoby możliwe — a tymczasem uwalniamy wszystkie związki węgla od tysięcy lat uwięzione w torfie. Ropa, węgiel i gaz, na których oparliśmy większość naszej cywilizacji, powstawały jeszcze dłużej i nie ma wątpliwości, że kiedyś się w końcu wyczerpią.

Ogień rozpalony drewnem nawet brzmi lepiej niż torfowy. Jego szumy i trzaski

to odgłosy wygodnego domostwa. Co kilka miesięcy dociera do nas dostawa worków pełnych polan. Są zawsze za duże, żeby zmieścić się w kominku, zbyt grube, żeby nimi napalić; dla kogoś, kto dużo pracuje za biurkiem, nie ma lepszego leku na stres niż godzina rąbania polan i cięcia podpałki.

Znowu robiło się zimno, zbierały się nowe burze, a drzewo stało już — martwe — zbyt długo. Pewnej soboty wyszedłem więc i przywiązałem dwie kolejne liny do gałęzi w połowie pnia, żeby móc lepiej kierować jego upadkiem. Koniec jednej liny był przytroczony do ciężkiego pała wbitego w ziemię, a drugiej — do pnia innego drzewa. Pies przyglądał się z pełnym zadumy zaciekawieniem, siedząc bezpiecznie na wybiegu, kot gdzieś polował. Nasz nastoletni syn był za bardzo wyluzowany, żeby się zainteresować, ale córki — trzy- i czteroipółletnia — były zafascynowane. Dostały absolutny zakaz wchodzenia w drogę, ale przycisnęły buzie do okna, czekając, aż tatuś je zabawi: to było oczywiście moje najważniejsze zadanie.

Przede wszystkim chodziło o to, żeby drzewo opadło ukosem na trawnik, nie w stronę domu, nie na krzaki i płot na tyłach ogrodu i zdecydowanie nie na garaż. Naturalnie musiałem też uważać, żeby nie przygniotło i mnie. Kiedy zacząłem piłować, przez myśl przemknęło mi sporo filmów z YouTube. Wspiąłem się na drabinę i odciąłem kilka większych konarów od strony garażu, mając nadzieję, że ta utrata wagi ułatwi drzewu opadnięcie w przeciwnym kierunku.

Potem zabrałem się za pień. Wyciąłem dwa kliny, jeden z przodu, a drugi — nieco wyżej — z tyłu, przez co drzewo stało na „zawiasie“ grubości ledwie kilku centymetrów, co teoretycznie powinno pokierować upadkiem. Drewno było naprężone, ale obumarłe i suche. Założyłem, że drzewo jest niestabilne i kruche, że tylko czeka, aby przewrócić się po pierwszym ruchu piłą. Kiedy jednak wyciąłem drugi klin, ono stało dalej, połączone z podstawą pnia może pięcioma centymetrami drewna. Podniosłem wzrok na gałęzie drzewa: niepokoił mnie jego ciężar, ale to, jak świetnie było ukształtowane, zaskoczyło mnie i wzbudziło przypływ szacunku. Miało dziewięć metrów wysokości i niesymetryczne gałęzie, a jednak było tak idealnie wyważone, że stało pionowo na podstawie niewiele grubszej od mojej dłoni. Osiągnięcie takich rozmiarów zajęło mu dziesięciolecia spędzone w najróżniejszych warunkach pogodowych i nawet teraz, choć jego życie już się zakończyło, wciąż było mocniejsze niż sądziłem.

Kątem oka widziałem moje czekające w oknie córeczki. Położyłem dłoń na pniu i pchnąłem. Drzewo przewróciło się na podmokły trawnik z cichym, głuchym trzaskiem. Okno blokowało dźwięki, ale żona powiedziała mi później, że jeszcze nigdy nie słyszała, żeby dziewczynki śmiały się tak głośno.

Tatuś przewrócił drzewo jedną ręką.

Odwiązałem liny, po czym zacząłem ciąć drzewo na kłody i polana. Zostawiłem je wzdłuż ściany garażu, żeby trochę obeschły, cieńsze gałęzie ułożyłem na stojaku przy płocie, a powiązane witki na podpałkę zrzuciłem na stertę.

Palimy w kominku tylko wieczorami, żeby ogień buzował przez kilka godzin, zanim pozwolimy mu zgasnąć. To drzewo rosło przez ponad dziesięć lat, a my zużyliśmy wszystkie polana w jakieś dwa tygodnie. Dało mi to dużo do myślenia o całym tym paleniu różnych rzeczy dla ciepła i energii. To właśnie robimy: choć mamy do dyspozycji inne, niewyczerpane źródła energii, wciąż w kilka godzin spalamy to, co powstaje przez lata, wieki albo tysiąclecia.

Jako gatunek podpalamy własny dom, żeby było nam ciepło. Bardzo powoli poddajemy kremacji planetę, na której mieszkamy. Lubię siedzieć przy płonącym kominku, ale tęsknię za drzewem.

Przełożyła Marta Dziurosz

O SPUSTOSZENIU HOFGARTEN W DÜSSELDORFIE

— ● — ● — ● — ● —

Mirko Bonn , Berlin

W zeszłym roku, na przełomie wiosny i lata, obchodziłem 49. urodziny. Żeby to uczcić wybrałem się w poniedziałek zielonoświątkowy razem z przyjaciółmi, synem oraz żoną, na kolację w portugalskiej dzielnicy. Był początek czerwca, ciepły wieczór w portowej części Hamburga. Co prawda zapowiadano burzę — miała przyjść z południowego zachodu; ale w końcu nie przyszła, więc siedzieliśmy do późna na ulicy. Roześmiani piliśmy wino, przysłuchując się dalekim grzmotom.

Niedługo później, rankiem, jechałem do Düsseldorfu. Miałem przez godzinę czytać fragmenty powieści „Nie mehr Nacht“ na tarasie Muzeum Teatru, mieszczącym się na skraju Hofgarten. Z dworca odebrała mnie organizatorka i ruszyliśmy taksówką przez miasto, w którym nigdy wcześniej nie byłem i którego widok natychmiast mnie poraził. Głęboko zaniepokojeni, rozmawialiśmy o burzy, która, osłabiona, co prawda ominęła Hamburg, lecz na Düsseldorf uderzyła z wielką siłą. Chociaż prace porządkowe szły pełną parą, to nie było ani jednej ulicy, na której nie leżałyby połamane gałęzie, kosze na śmieci, rowery, zerwane markizy i tablice reklamowe. Na środku jednego ze skrzyżowań zobaczyłem łódkę.

Im bliżej byliśmy celu, tym większe wydawało się **zniszczenie miasta**. Z wąskiego pasa zieleni, który jeszcze przed kilkoma dniami przylegał do parku, nie uratowało się ani jedno drzewo. Jak wyjaśniła organizatorka odczytu, w dniu moich urodzin trzy burze połączyły się nad Düsseldorfem, a nowopowstały huragan przypuścił szturm na miasto. Moja rozmówczyni pokazywała mi taras, na którym miałem mieć odczyt — tarasu już nie było. Trzystu- czy czterystuletnie buki i kasztanowce leżały wyrwane z ziemi niczym zwiędłe ostry. Poszatowane konary, wciąż porośnięte liśćmi, leżały w stertach rozrzuconych bezładnie wśród kamiennych płyt, które to pod ciężarem tej całej zieleni powbijały się w ziemię. Tamtego wieczora miał się odbyć koncert, mówiła pobladła organizatorka odczytu. Wystawiono na zewnątrz sto, może sto dwadzieścia krzeseł, lecz koncert trzeba było natychmiast odwołać. Wciąż miała przed oczami muzyków ratujących swoje instrumenty — jak się okazało, w ostatniej chwili — ponieważ za chwilę krzesła odleciały

jak muchy. Całe rzędy krzesel jak roje much wfrunęły między drzewa, których wiatr nie zdążył jeszcze połamać.

Długo stałem ze ściśniętym gardłem na środku tego pobojuwiska. Gdzieś w dole, w trawiastej dolince pełnej pniaków, ujrzałem szklarnię rozbitą w drobny mak przez obalony platan. Starszy pan z dużym psem na smyczy przedzierał się przez szare czerwcowe popołudnie, klucząc po nielicznych miejscach pozbawionych zniszczeń, po enklawach odgradzonych biało—czerwoną taśmą. „Miałem siedem lat“ — krzyknął do mnie — „kiedy chadzałem tędy z moim ojcem!“

Przełożyła Jolanta Kossakowska

JAK NIE ZATRZYMAŁEM GLOBALNEGO OCIEPLENIA

DZIENNIK KLIMATYCZNY ZAANGAŻOWANEGO KONSUMENTA

— ● — ● — ● — ● —
Jaś Kapela, Warszawa

Do pisania dziennika klimatycznego zachęcili mnie autorzy książki „Koniec świata, jaki znamy“ Claus Leggewie i Harald Welzer, pisząc tak: „Każdy codziennie wiele razy postępuje wbrew swoim najgłębszym przekonaniom. W omawianym w tej książce przypadku dotyczy to zużycia energii, które zwiększamy, wbrew posiadanej wiedzy i często bez wyraźnej konieczności korzystając z taksówek, samochodów i samolotów. Przykładów, jak łatwo nam przejść do porządku dziennego nad sprzecznością między naszymi przekonaniem a naszym postępowaniem, jest mnóstwo. Dowód? Jeśli są Państwo osobami świadomie podchodzącymi do kwestii ochrony klimatu, proszę założyć dziennik klimatyczny, w którym odnotowywać będą Państwo, jak często, w jaki sposób i w jakich sytuacjach naruszyli Państwo swoje zasady, wynikające z tej świadomości“. Jako osoba świadomie podchodząca do kwestii ochrony klimatu, postanowiłem sobie taki dziennik założyć.

2 grudnia, godz. 10.30

Podkreśliłem kaloryfer. Bo poczułem się chory. A naprawdę nie chcę być dzisiaj chory. Naprawdę nie mam czasu być chory. To chyba ważniejsze, żebym był zdrowy, niż podkreślenie kaloryfera, żeby grzał trochę bardziej?

godz. 14.30

Poszedłem na obiad z przyjaciółką i wziąłem zupę na wynos. A nie miałem na nią pojemnika, więc dostałem jednorazowy ze styropianu. Nie miałem pojemnika, bo nie planowałem nic brać na wynos. Ale zupa była w zestawie lunchowym za pięć złotych i miałem na nią ochotę, ale bałem się, że jak zjem od razu, to nie dam rady zjeść drugiego dania. Więc wziąłem na wynos.

3 grudnia, godz. 15.00

Poszedłem do sklepu po tytoń i herbatę z lipy, bo trochę się przeziębilem. Na przezię-

bienie najlepsze są papierosy. Żart. Na przeziębienie najlepiej leżeć pod kocem i pić herbatę, więc nie planowałem nic więcej kupować i nie wziąłem torby na zakupy. Ale gdy już wyszedłem i kupiłem tytoń, uznałem, że może warto kupić też jakieś owoce, naturalne źródło łatwo przyswajalnych mikroelementów i witamin. Ale ponieważ nie miałem torby, musiałem wziąć foliówkę w warzywniaku.

4 grudnia

Kupiłem sobie nowy komputer. To znaczy nie do końca nowy, bo używany. Ale nowy, bo ciągle mam stary. Ale stary kupiłem sobie parę lat temu i już naprawdę nie wyrabiał. Ciągle się wieszał i zaciął, więc uznałem, że najwyższy czas kupić nowy. Choć jednocześnie miałem z tym dylemat, bo przecież stary ciągle działał, choć się wieszał i zaciął. No, ale przecież nie wyrzucam starego, tylko oddam go bratu, który na pewno zrobi z niego jakiś pożytek. Do tego komputer był cały opakowany w folię bąbelkową, z którą teraz nie wiem, co zrobić. Ale żal wyrzucać, więc leży na fotelu i patrzy na mnie karcącym wzrokiem.

5 grudnia, godz. 12.00

Poszedłem na zakupy. W warzywniaku powiedziałem panu, że nie potrzebuję plastikowej torby, do której załadował mi dwie cebule, ale zażartował sobie:

– Zawsze to deko więcej.

W sensie, że zarobi więcej dzięki tej foliówce, choć chwilę mi zajęło zrozumienie tego żartu. No więc się śmiejemy i w końcu wziąłem tę foliówkę, której nie chciałem. Mam nadzieję, że naprawdę coś na tym zarobił.

godz. 13.18

Przyszedł kurier z przesyłką, co mi przypomniało, że mam dylemat, czy etycznie jest korzystać z usług kurierów. Nie dość, że zwiększa to ruch samochodowy, to do tego warunki pracy kurierów, a także pracowników sortowni błagają o pomstę do nieba. A wołanie do nieba im wcale nie pomoże, więc może należałoby samemu jeździć rowerem po te wszystkie rzeczy, które tak łatwo teraz kupić sobie jednym kliknięciem przez internet? Może wychodziłoby drożej, ale w sumie taniej, bo połowy z nich bym sobie nie kupował.

9 grudnia

Wymieniłem sobie telefon i teraz mam znowu wyrzuty sumienia. Myślę o tych wszystkich dzieciach zmuszonych do pracy w kopalniach złota i platyny, dzięki którym co dwa lata możemy cieszyć się nową komórką. Chciałbym kiedyś móc uścisnąć im rękę. Podziękować za te wszystkie lata, przez które moja jakość życia utrzymywała się na tym samym wysokim technologicznie poziomie. Jednak pewnie nie będę miał takiej okazji, więc pozostaje mi tylko zasmucić się nad ich losem przez chwilę. Może należałoby zapalić im jakąś świeczkę? Może po prostu należałoby nie wymieniać telefonu? W końcu stary jeszcze działa i pewnie, gdyby nad nim popracować i wyczyścić ze śmieci, to mógłby całkiem dobrze działać dalej. Co prawda wkurzało mnie, że miał kiepski aparat, ale jeśli chcę mieć dobry aparat, to może muszę sobie kupić aparat, a nie co dwa lata zmieniać komórkę, licząc, że w którejś w końcu aparat będzie wystarczająco dobry. Może muszę, ale na razie stało się to, co się stało. Kupiłem nową komórkę i przedłużyłem umowę z operatorem na kolejne dwa lata. Biedni my.

10 grudnia

W drodze do Lubomierza (taka wioska w górach, gdzie mam po dziadkach domek)

kupiłem sobie drożdżówkę i obwarzanek krakowski. Jedno i drugie zapakowano w foliowe torebki, a ja zbyt się śpieszyłem, żeby protestować. Podobno zrobiono kiedyś takie doświadczenie, że młodym pastorom kazano przygotować kazanie o dobrym samarytaninie, a następnie powiedziano, że muszą natychmiast udać się do drugiego budynku, żeby je wygłosić. Większość tak się spieszyła, że nawet nie zauważyła mężczyzny leżącego na chodniku i symulującego atak padaczki. Tylko niewielka część zatrzymała się sprawdzić, co mu się stało.

12 grudnia

Pojechałem w góry i sobie tu siedzę, pisząc książkę. Przyjechałem pociągiem i autobusem, czyli nie tak najgorzej dla klimatu. Ale dziś na przykład pojechałem busem do Mszany Dolnej, która jest trochę większą miejscowością niż Lubomierz, w którym mam dom po dziadkach. I zastanawiam się, czy nie bez sensu pojechałem. Kupiłem dużo rzeczy, które pewnie mi się przydadzą, ale część z nich mógłbym przecież kupić w wiejskim sklepiku (choć większości nie). Zresztą nawet jeśli nie mógłbym kupić w najbliższym sklepie różnych rzeczy, które sobie umyśliłem, to może czas nauczyć się robić dobre posiłki z rzeczy, które można znaleźć w najbliższym sklepie. A nie tylko ciągle mleko sojowe i pomidory suszone z Biedronki. Fasola w puszcze to też w końcu super produkt, którego nie doceniałem jak dotąd w mojej kuchni. Może czas się z nią zaprzyjaźnić? Choć lepsza by była nie w puszcze, ale kto ma czas na to namaczanie? Jednak skoro przejmuję się klimatem, to chyba będę musiał go znaleźć wkrótce.

Zasadniczo pojechałem do miasta, bo wczoraj próbowałem pójść w góry, ale szybko się poddałem, bo raki, które założyłem na buty, były porwane i ciągle trzeba było je poprawiać. Więc pomyślałem, że kupię sobie nowe raki. W końcu taki produkt powinien być w co drugim sklepie w górskim miasteczku. W końcu wielu osób tu chodzi po górach i na pewno potrzebuje takiego produktu. Ale okazało się, że nie. Widocznie wszyscy mają tutaj lepsze buty i umiejętności chodzenia po śniegu niż ja. I nikt nie potrzebuje raków. Więc ostatecznie kupiłem sobie nowe buty. Tyle dobrego, że nie są skórzane, a są całkiem ładne. W sumie potrzebuję nowych butów, bo mam na zimę tylko jedne oficerki. A nie mogę przecież wszędzie chodzić w oficerkach. A może mogę? Może wcale nie potrzebuję tych butów? I innych produktów, które kupiłem. Gdybym był bardziej przewidujący, wziąłbym na przykład okulary przeciwsłoneczne z domu. I nie musiałbym kupować nowych. Ale nie jestem dość przewidujący. Byłem zajęty innymi rzeczami niż myślenie, co może mi być potrzebne w górach. W efekcie kupiłem kolejne zbędny mi na dłuższą metę produkt. A PKB rośnie, rośnie, rośnie i pogrzebie stary świat.

Martwi mnie jeszcze jedna rzecz, o której zazwyczaj nie myślę. Prąd. Nie potrafię żyć bez prądu. Zrozumiałem to dziś, gdy wiał silny wiatr i nagle zgasło światło. Była godzina 21.00 i pomyśl, że mam teraz spędzić resztę wieczoru bez prądu i przy świeczkach wydawał mi się nie do zniesienia. Tym bardziej, gdy już znalazłem i zapaliłem świeczki, które okazały się żalonymi ogarkami. Nie dało się przy nich nawet czytać. Napisałem na Facebooku, że nie mam prądu i co teraz. I koleżanka się spytała, ile procent baterii mi zostało. (To też znamienne, że mogę nie mieć prądu, ale jednak mam go na tyle, żeby pisać na Facebooku.) Zastanowiłem się nad tym pytaniem i odpisałem: „Ale w laptopie, tablecie, komórce czy drugiej komórce?” Oczywiście pisząc te słowa zdawałem sobie sprawę z ich dwuznacznego wydźwięku. Jako osoba zaangażowana w sprawy klimatu nie powinienem się obnosić z takim rozpasaniem technologicznym. Ale właśnie dlatego, że nie powinienem, mam ochotę to robić. Przecież ciągle myślę o tym jak ograniczyć zużycie energii. Przeważnie wyłączam komputer, tablet, komórkę, gdy ich nie używam. Ok, tylko jedną komórkę. Ale wciąż.

15 grudnia

Wciąż jestem w górach, co sprzyja ekologicznemu trybowi życia. Już drugi dzień nie wychodzę z domu. Ale oczywiście ciągle emituję CO₂ paląc w kominku, używając komputera itd. Czytając kolejny tekst na temat zrównoważonego rozwoju, a konkretnie gospodarki odpadami, spotkałem się z myślą, że nie ma sensu spuszczać wody po siku, wystarczy, że się to robi po kupie. Zgodziłem się z tą myślą, bo w sumie dostarczanie wody na szczyt góry, tylko po to, żeby ją spuścić zmieszaną z moczem, jest dość absurdalne. Jednak odruchy są silniejsze. I ciągle przyłapuję się na spuszczeniu wody po siku. Długa droga od postanowienia do przestawiania się.

16 grudnia

Muszę pojechać do Kielc, bo jestem świadkiem w sprawie zdjęcia, które sobie kiedyś zrobiłem z napisem „Papierz chuj, Polska kurwa“. Nie wiem, czy znajdą winnych, skoro nie mam pojęcia, kto ten napis zrobił. A pewnie jestem jednym świadkiem, bo zdjęcie jest z Berlina i gdybym to nie ja się na nim znajdował, to sprawy by nie było. Tyle dobrego, że nie jestem oskarżonym. Ale jednak muszę jechać bez sensu do Kielc, co zwiększa mój ślad węglowy. Nie mówiąc o śladzie węglowym prokuratury, która trawi ropę na takie bezsensowne sprawy.

Zrobiłem sobie na drogę kanapki z hummusem i zapakowałem sałatkę, którą już jem trzeci dzień, bo została po wizycie ciotki z wujem i dziećmi. W Krakowie miałem przesiadkę. Krakowski dworzec zmieniono praktycznie w galerię handlową, więc za bardzo nie ma gdzie usiąść, jeśli nie chcemy siedzieć w sieciowej kawiarni, cukierni albo restauracji, ale w końcu znalazłem jakąś ławeczkę, gdzie można było przycupnąć i zjeść posiłek. Bardzo byłem z siebie zadowolony, że robię coś tak obciachowego jak spożywanie przywiezionego z domu jedzenia w środku świątyni handlu. Nikt, co prawda, nie zwrócił specjalnej uwagi na ten mój akt oporu, ale nie jest to najważniejsze. Dziś może nie zwrócił, a jutro pomyśli, że może nie ma sensu kupować hamburgera, skoro można sobie przynieść kanapkę z domu i będzie taniej, smaczniej i zdrowiej.

Przesłuchanie tyle trwało, że nawet nie miałem czasu w biegu kupić sobie nic więcej do jedzenia, więc przynajmniej nie wziąłem kolejnej foliówki.

18 grudnia

Pojechałem do koleżanki do Cieszyna, gdzie marnuje się więcej zasobów niż w domu w Lubomierzu. Na przykład kupiłem sobie trzy pary skarpetek, tylko dlatego, że były ozdobione napisem „fuck you“. Ale jest jedna rzecz, która mnie tu cieszy (poza tym oczywiście, że wycieczki są fajne i koleżanka jest fajna i generalnie jest miło). Otóż koleżanka ma zepsutą spłuczkę i nie wystarczy nacisnąć przycisk, żeby spuścić wodę, ale trzeba też odkręcić zawór. Dzięki temu czynność spuszczenia wody wymaga chwili refleksji, przy okazji której przypominam sobie, że spuszczenie wody po siku to marnotrawstwo i tego nie robię. Spuszczam tylko po dłuższym posiedzeniu.

19 grudnia

Poszedłem na zakupy i nie wziąłem bawełnianej torby, bo miałem kupić tylko bułkę i gazetę, ale oczywiście doszły jeszcze jabłka, papryka konserwowa, druga bułka i w efekcie nie miałem jak tego wszystkiego po kieszeniach schować, ale i tak nie wziąłem oferowanej foliówki.

20 grudnia

Wróciłem do domu w górach i zastanawiam się, czy rzeczywiście siedzenie tu samemu jest takie ekologiczne. Na pewno kupuję mniej rzeczy, ale przecież ogrzewanie domów

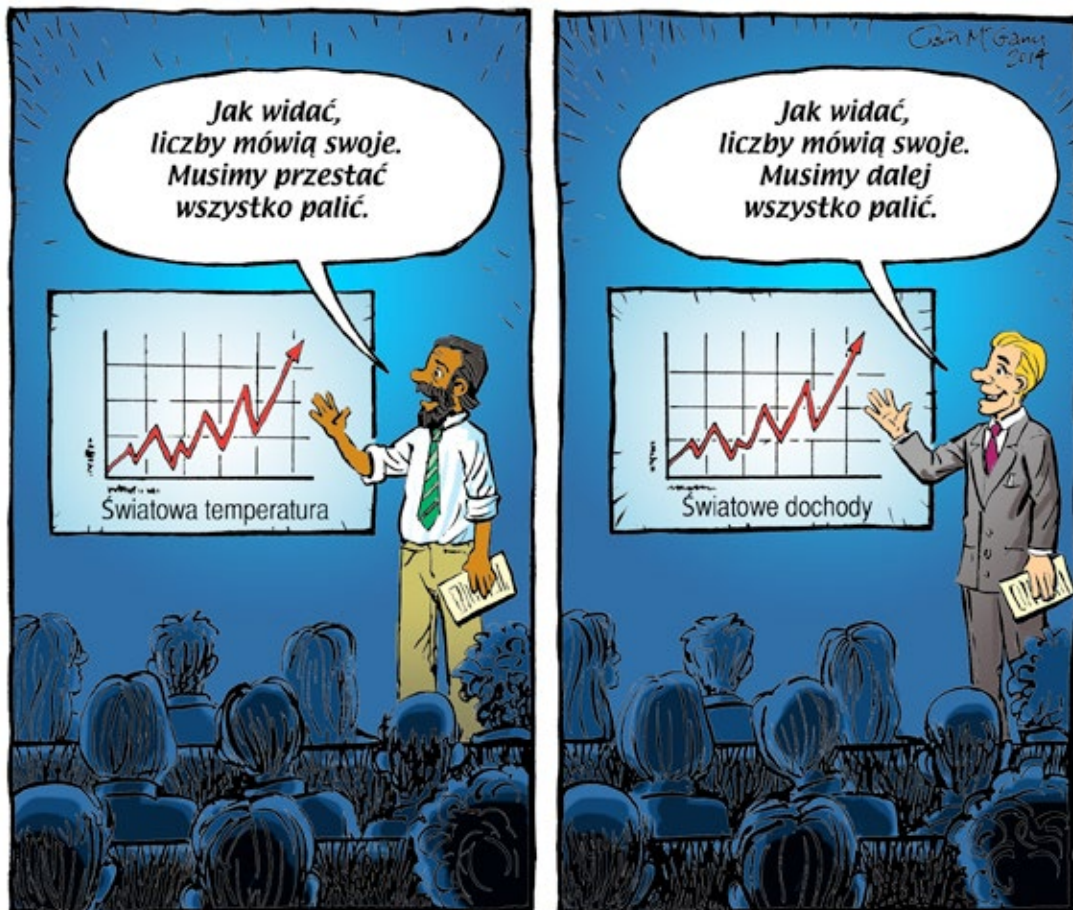
stanowi poważniejszy wkład w globalne ocieplenie, niż produkcja torebek foliowych, które czasami niechętnie wezmę. Zima, co prawda, wyjątkowo ciepła, ale nie na tyle, żeby siedzieć w swetrze. Na szczęście niedługo zjedzie się rodzina i będzie to bardziej efektywne energetycznie.

27 grudnia

Święta, święta i po świętach. Konsumowaliśmy całymi dniami, udało się uniknąć rękoczynów, tylko trzy razy zostałem nazwany faszystą. Na szczęście to matka zrobiła większość zakupów, więc nie muszę się trudzić liczeniem, ile wyemitowaliśmy przy tym dwutlenku węgla. Ale upomniałem ją, gdy próbowała palić plastiki w kominku. W końcu nie po to mamy recykling, żeby palić śmieciami. Ale pewnie jej nie przekonałem i dalej pali śmieciami, tylko robi to tak, żebym nie widział. Trochę się martwię, czy od tego wszystkiego nie przytyłem, ale na szczęście mam przemianę materii piętnastolatka, więc prawie równie szybko udawało mi się wydalać to, co skonsumowałem. Zobaczymy, co pokaże waga na siłowni. Gdy już uda mi się do niej dotrzeć. Niespuszczanie wody po siku okazało się trudniejsze niż myślałem, ale powoli zaczynam się przyzwyczajać. I powstrzymywać.

30 grudnia

Wróciłem do miasta i znowu wraca problem z torebkami foliowymi. Wszyscy chcą mi je dawać, a ja staram się odmawiać, ale bywa różnie. Nie zawsze łatwo odmówić, czasem łatwiej wziąć i się z tym pogodzić. To znaczy zawsze jest tak łatwiej, ale jednak nie poddaję się. Na szczęście mam na ulicy sklep, gdzie różne kasze, bakalie i przyprawy pakują w torebki papierowe, więc staram się w nim zaopatrywać. Wcześniej też był, ale pracował w nim facet paradujący w koszulce nacjonalistów, więc czułem pewien dyskomfort, żeby tam robić zakupy. W końcu nie po to walczę z globalnym ociepleniem, żeby wspierać nacjonalizm. Na szczęście obsługa się zmieniła. Nie wiem, czy już pisałem, że zmierzam do zostania weganinem. To na pewno zmniejszy mój ślad węglowy, bo przecież przemysł mięsny jest odpowiedzialny za ponad dwadzieścia procent emisji CO₂. Co prawda, gdy kupuje się warzywa, trudno uniknąć pakowania ich przez sprzedawców w foliówki, ale na pewno da się to jakoś rozwiązać. I zajmę się tym w nowym roku. Takie postanowienie.



Oisín McGann

RYBITWA



Tony Birch, Melbourne

Od ponad roku mój starszy wiekiem sąsiad, Jack, porządkuje swoje życie i pozbywa się niektórych rzeczy. Nie jesteśmy spokrewnieni i znamy się tylko parę lat, jednak wiele z rzeczy, które nie są mu już potrzebne, trafiło właśnie do mnie.

Zaczął się od „Encyklopedii australijskich traktorów“ oraz „Traktorów i nowoczesnego rolnictwa“ w twardych okładkach. Podsunął mi je pewnego słonecznego poranka, gdy rozmawialiśmy przez poszarpany żywopłot z lawendy, który służy nam za rozdzielający nas płot.

Jack zna się na traktorach i uwielbia o nich rozmawiać. Gdyby brał udział w starym quizie telewizyjnym „Mastermind“, jego „wybrany temat“ bez wątplenia byłyby traktory.

Jack całe życie sprzedawał traktory w stanie Wiktoria. Miał spółkę ze swoim bratem bliźniakiem, Ronniem. Razem rozkęcili biznes, a parę lat później ożenili się z dziewczynami ze swojego rodzinnego miasta — w tym samym kościele, tego samego dnia.

Zaplanowali też, że po przejściu na emeryturę osiadną na bliźniaczych działkach przy plaży na zachodnim wybrzeżu. Do zaplanowanej emerytury zostało im jeszcze kilka miesięcy, gdy, podczas powodzi, woda zmyła z mostu pikapa, za kierownicą którego siedział Ronnie, gdy próbował pokonać wezbraną rzekę gdzieś koło Colac. Poobijany wrak auta wypłynął kilka mil dalej, ale ciała Ronniego nigdy nie znaleziono.

Choć Jackowi bardzo brakowało Ronniego, nie zrezygnował ze swojego emerytalnego planu. Tymczasem wdowa po Ronniem sprzedała ich działkę „komuś z miasta“, jak lekceważąco wyraził się Jack. Ten „ktoś z miasta“ wybudował dom obok Jacka, ale rzadko tu zaglądał i po paru latach wystawił dom na sprzedaż.

To ja kupiłem dom od żony Ronniego. Chciałem zająć się jego remontem w przerwach w pisaniu wielkiej powieści. Ale od przeprowadzki tutaj niewiele zdziałalem. Napisałem też zaledwie kilka paragrafów.

Poza książkami o traktorach, Jack oddał mi przez żywopłot także swoje stare narzędzia. Szczerze mówiąc są mi tak samo potrzebne, jak książki o traktorach. Nie

chodzi o to, że nie doceniam hojności Jacka, po prostu mam dwie lewe ręce.

Jack dbał o swoje narzędzia. Naoliwione metalowe części są wolne od rdzy, a drewniane ręczki wygładzone od lat używania. Choć nie spodziewam się, bym miał ich kiedykolwiek użyć, wszystkie nowe prezenty — czy to łopata, czy młotek czy jakiś rodzaj ręcznej piły — dołączają do kolekcji, którą trzymam w wychodzącym na ogród pokoju za kuchnią.

To w tym pokoju piszę. Czy też, jeśli chodzi o ścisłość, spędzam dni, gdy powinienem pisać.

Swój ochrzczony niefortunnie „dzień przy piórze“ zaczynam przy biurku uzbrojony w filiżankę herbaty i inspirującą muzykę — „muzykę do pisania“, jak o niej mówię z optymizmem. Mój poranek, który wcale nie trwa zbyt długo, polega na gapieniu się na przemian w ekran komputera i przez okno na zapuszczony ogród. Ogród aż się prosi o trochę uwagi, której nie mogę mu poświęcić, bo jestem zajęty pisaniem.

Po jakiejś godzinie dociera do mnie, że nie jest to dzień na pisanie. Więc wstaję od biurka, wychodzę z domu i idę na koniec ogrodu. Przeciskam się przez szparę w ogrodzeniu i ruszam na plażę.

Gdy zacząłem swoje codzienne wyprawy na plażę, Jack chodził zawsze ze mną. To właśnie on pokazał mi sekretne przejście ukryte pod ogromnym drzewem herbacianym, które rośnie zaraz za moim ogrodzeniem od tyłu. I to właśnie Jack zaprowadził mnie tamtędy na plażę, gdzie podzielił się ze mną kolejnym sekretem.

Tego dnia, gdy poszliśmy na plażę po raz pierwszy, właśnie porzuciłem kolejną sesję pisania i Jack natknął się na mnie, jak krążyłem po ogrodzie od frontu. Rozglądałem się za czymś. Nie za historią, lecz za zwykłym zdaniem czy też nawet pojedynczym słowem, od którego mógłbym zacząć.

– Hej, synu. — Pomachał do mnie zza żywopłotu.

Jack był pewien, że coś musi nękać człowieka, który krąży jak oszalały po własnym ogrodzie. Obszedł żywopłot, zastąpił mi drogę i zapytał, czy może mi jakoś pomóc. Gdy mu wytłumaczyłem, że jestem prawie pewien, iż opuściła mnie wena twórcza, spojrział mi prosto w oczy, zaintrygowany i zmartwiony jednocześnie.

– Wena twórcza? — powtórzył moje słowa kilka razy. — Nigdy o tym nie słyszałem. Co to jest?

– No, więc, Jack, gdy pisarza opuszcza wena, to czuje się tak, jakby miał problem, którego nie jest w stanie rozwiązać. Albo jakby rozglądał się za pomysłem. Pomysłem zawartym w słowach. Tylko, że nie można tych słów uchwycić.

W oczach Jacka coś błysnęło. Był przekonany, że znalazł rozwiązanie.

– Masz trochę racji, próbując rozwiązać swój problem spacerując. Ja też tak robię. Idę na przechadzkę, żeby sobie przejaśnić w głowie. Ale kręcenie się w kółko? To ci nie pomoże. Musisz iść przed siebie.

Pomachał w kierunku niskich wzgórz za sąsiednimi domami.

– Przed siebie, synu. Prosto przed siebie.

Następnie namówił mnie do przejścia na tył ogrodu i pokazał mi lukę między dwoma słupkami w ogrodzeniu za jego szopką.

– Zastanawiałem się nad wstawieniem tu furtki — wyjaśnił Jack, gdy przeszliśmy na drugą stronę. — Byłoby łatwiej, niż tak się codziennie rano przeciskać. Ale, szczerze mówiąc, nie miałbym z tego takiej zabawy. Dzięki temu czuję się trochę jak dzieciak.

Przed nami ciągnęło się wąskie przejście, która niknęło pod koroną drzewa herbacianego. Szedłem za Jackiem ocienioną ścieżką, która wspinała się ostro do góry, aż dotarliśmy do szczytu wzgórza, skąd opadała łagodnie pomiędzy piaszczyste wydmy i fale złocistej trawy.

Jack czekał na mnie na plaży, gdy przeciąłem pasmo piasku usiane kawałkami

skórzastej brunatnicy. Nie spieszyliśmy się, gawędziliśmy i czasem przystawaliśmy, by podziwiać oszalałymi barwy w basenach pływowych między plażą a oceanem. Jack potrafił rozpoznać każdy gatunek ryb, które kluczyły w lasach wodorostów. Czulem się przy nim jak chłopiec ochotczo podążający za ojcem.

Szliśmy tak może z pół godziny i w końcu Jack zszedł z plaży między trawy. Po jakichś trzydziestu metrach się zatrzymał. Wskazał ruchem głowy na płytkie zagłębienie w ziemi.

– To tu. — Pokazał na miejsce, w które się obaj wpatrywaliśmy, choć ja nie miałem pojęcia, co niby miałbym tam zobaczyć.

Oczy Jacka rozszerzyły się.

– No, i co myślisz?

Spojrzałem znowu na trochę przydeptaną trawę.

– Co myślę o czym, Jack?

Nawet jeśli usłyszał moje pytanie, to je zignorował.

– Zjawiają się co roku. Odkąd mam tu dom. I pewnie tak było od tysięcy lat.

– Kto, Jack? Kto się tu zjawia?

– Nie kto, synu, tylko co. Rybitwa.

Wypowiedział to słowo — „rybitwa“ — cicho i spokojnie, jakby uważał, że powinienem wiedzieć o czym mówi bez zadawania pytań.

Następnie odwrócił się i poszedł z powrotem w stronę plaży. Zaskoczył mnie, gdy nagle ruszył truchtem.

Pobiegłem za nim.

– Rybitwa, Jack? Co to jest?

Zatrzymał się na plaży i wziął głęboki oddech.

– Rybitwa popielata — wyjaśnił, idąc dalej. — To ptak. Odważny, mały ptak. Każdego roku przylatuje tu, na tę plażę, z samego szczytu świata, z kręgu polarnego. Pokonuje 30 tysięcy kilometrów, żeby się tu dostać. I rok w rok wraca tam z powrotem. Co za odległość. Większość ludzi nigdy rybitw nie ogląda. Większą część życia spędzają w powietrzu.

Spojrzałem w stronę linii horyzontu nad oceanem, a potem podniosłem wzrok na puste niebo.

– To musi być spory ptak, co? Żeby przelecieć taki dystans?

– Wcale nie — roześmiał się Jack. — Rozpiętość skrzydeł to może ze trzydzieści centymetrów, może trochę więcej. A sam ptak... — Zaciśnął swoją sękatą pięść. — Jest niewiele większy niż to.

Zagwizdałem z podziwem.

– Czyli ją widziałeś, Jack? Tę rybitwę?

Spojrzał na mnie. Jego twarz się wypogodziła, ale nic nie powiedział.

Ruszyliśmy z powrotem do domu. Od czasu do czasu oglądałem się przez ramię i zerkałem na czyste, poranne niebo, zadając jednocześnie kolejne pytania o ptaka.

– Jack, aż z kręgu polarnego, tak? Jak tu trafiają?

– Przylatują — zaśmiał się.

– Ale jak, Jack? Skąd wiedzą, gdzie mają lecieć? — Znowu spojrzałem w stronę horyzontu. — I to z tak daleka.

Zatrzymał się i położył mi rękę na ramieniu. Zaskoczyła mnie siła jego uścisku.

– One pamiętają, synu. Właśnie tak tu trafiają. Lot trwa miesiące. Poczytaj o tym. Naukowcy zbadali, gdzie te ptaki się zatrzymują po drodze. Rybitwy nigdy nie zapominają miejsc, w których były ani do których zmierzają. Nigdy nie zapominają. Zapamiętaj to sobie synu.

Znowu złapał mnie za ramię.

– Jest coś jeszcze, wiesz?

Naukowcy zbadali, gdzie te ptaki się zatrzymują po drodze. Rybitwy nigdy nie zapominają miejsc, w których były ani do których zmierzają. Nigdy nie zapominają. Zapamiętaj to sobie synu.

Czekał na moją reakcję, ale ja nie miałem nic do powiedzenia.

– Co jeszcze, Jack?

W jego oczach błysnęła czysta radość.

– One długo żyją, jak na ptaki. Niektóre ponad dwadzieścia lat. Tyle latania, można by pomyśleć, że to je zmęczy. A jednak nie. Latanie daje im siłę. To nie wszystko. Tyle żyją, a w pary łączą się na całe życie. Co roku lecą na drugi koniec świata w dokładnie to samo miejsce, do tego samego partnera. Niezłe, co?

Gdy prześlizgnęliśmy się z powrotem przez ogrodzenie, Jack zaprosił mnie do swojej szopki w ogrodzie.

– Mam tu coś dla ciebie — powiedział i puścił do mnie zawiadacko oko.

W szopce panował idealny porządek. W szklanych słojach opatrzonych w etykietyki znajdowała się wielka kolekcja gwoździ, wkrętów, śrubek i nakrętek. Stały na drewnianej ławie wzdłuż ściany, pod oknem wychodzącym na ogród. Jego narzędzia ogrodnicze: łopaty, grabie i kilofy różnych rozmiarów stały gotowe do użycia wzdłuż jednej ściany, podczas gdy piły, młotki i wiertła wisiały na wspornikach powyżej.

Nigdzie nie było widać żadnego narzędzia na prąd.

Kawałki drewna różnej długości — niektóre z nich, jak twierdził Jack, były „rzadkimi znaleziskami“ — leżały na stelażu z tyłu szopki. Poniżej kolekcji drewna znajdowała się druga półka, którą zapełniało kilkadziesiąt równo ustawionych puszek farb i lakierów.

– Czego właściwie szukamy, Jack? — zapytałem na głos, gdy on zaczął rozglądać się za czymś po szopce.

– Lornetki — odpowiedział, grzebiąc w kartonie z wypisanym grubym ołówkiem słowem „RÓŻNOŚCI“.

Lornetki nie było w tym pudle, więc Jack opuścił szopkę i wrócił z drewnianą drabiną. Oparł ją o tylną ścianę, a górę drabiny przystawił do górnej półki, gdzie stał grzejnik naftowy, kilka kolejnych kartonów oraz stara walizka.

Zobaczyłem, że Jack sprawdza wytrzymałość drabiny. Zaproponowałem, że go wyręczę.

– Może pomogę, Jack? Wejdę na drabinę za ciebie.

Odpędził mnie machnięciem ręki i postawił nogę na pierwszym stopniu drabiny. Wspiął się na wysokość półki, przesunął jedno z pudeł na bok i sięgnął po drugie. Karton uderzył przy tym w walizkę. Odskokczyłem do tyłu, gdy spadła z łoskotem na podłogę.

– Cholera jasna — Jack szepnął pod nosem, zerkając przez ramię na leżącą na ziemi walizkę.

Przejrzał kilka pudeł i w końcu znalazł w jednym z nich futerał z podrapanej skóry. Wyjął z niego lornetkę.

– A, jest.

Stałem przy drabinie, gdy mi ją podał. Była w nieskazitelnym stanie. Ciemny metal, chromowania, szklane soczewki — każda z tych powierzchni odbijała światło słoneczne wpadające do szopki przez okno.

Jack zszedł z drabiny i położył mi rękę na ramieniu.

– Gdy rybitwa wróci latem, będziesz przygotowany.

Zerknąłem na lornetkę.

– Ale jak ona wygląda, Jack? Zupełnie nie znam się na ptakach.

W odpowiedzi Jack podał mi książkę, którą wziął z półki nad ławą: „Ptaki wędrowne z całego świata“. Gdy przerzucałem karty książki, on zajął się walizką leżącą na podłodze. Podniósł ją za rączkę i potrząsnął. Usłyszałem delikatny szelest dochodzący ze środka. Spojrzałem na Jacka, żeby sprawdzić, czy on też to usłyszał.

Podrapał się w głowę.

– Co tam masz?

Postawił walizkę na ławie, już miał ją otworzyć, ale się zawahał, po czym jednak się zdecydował. Podeszedłem bliżej i zobaczyłem lśniące cekiny naszyte na śnieżnobiałą tkaninę. Wyglądało to na suknię ślubną.

Jack sięgnął do walizki i wyciągnął z niej suknię. Trzymał ją w ramionach, jakby to było nowonarodzone niemowlę.

– To suknia ślubna mojej żony — wyjaśnił. — Zmarła ponad dziesięć lat temu.

Wolno krążył po pomieszczeniu, tuląc do siebie suknię ślubną, jakby tańczył z nią walca. Zobaczyłem, że ma łzy w oczach, więc wyszedłem do ogrodu, by zostawić go samego.

Gdy Jack wyszedł w końcu z szopki, zaprosił mnie do domu. Siedzieliśmy przy drewnianym stole nad kubkami słodkiej herbaty i Jack opowiadał mi o czterdziestu pięciu latach swojego małżeństwa i o śmierci żony po krótkiej, ale bolesnej chorobie.

– Te wszystkie lata w podróży, wyjazdy do różnych miast... Powiniennem być z nią w domu. Zrozumiałem to dopiero, gdy ją straciłem. Więcej czasu spędziliśmy oddzielnie niż razem, więcej nocy przez te lata przespaliśmy w różnych łóżkach niż tak, jak powinniśmy, wtuleni w siebie.

Miałem poczucie, że jako powinienem na to zareagować. Chciałem powiedzieć Jackowi, że na pewno bardzo się kochali i że czas, który spędzili razem, bez wątpienia wynagrodził im z nawiązką te noce, które spędzili z dala od siebie. Ale nie mogłem tego powiedzieć. Miałem poczucie, że nie znam go dość dobrze. Zresztą jesteśmy facetami, więc powiedziałem to, czego w takich okolicznościach oczekuje się od facetów.

– Jack, ciężko pracowałeś, robiłeś to dla was obojga. Ona na pewno to rozumiała.

Zajrzał do swojego kubka i zastanowił się nad moimi słowami.

– Oboje to rozumieliśmy — powiedział w końcu. — Być może masz rację. Ale to niczego nie zmienia. Te wszystkie noce spędzone oddzielnie składają się na całe lata separacji. Zmarnowane lata.

Na początku wiosny ubiegłego roku po raz pierwszy zauważyłem zmiany w Jacku. Któregoś ranka stałem przy skrzynce pocztowej, gdy zawołał do mnie przez żywoplot:

– Ron! Hej, Ronnie!

Uśmiechnął się i pomachał do mnie, po czym szybko odwrócił wzrok. Chyba był zdezorientowany i zakłopotany. Obszedłem żywoplot dookoła. Jack grzebał czubkiem buta w ziemi, przyglądał się uważnie gołej łacie w trawniku.

– Jack, wszystko w porządku?

Nie chciał podnieść na mnie wzroku.

– Tak, wszystko w porządku, synu. Tak sobie tylko o czymś myślałem. Nie przejmuj się mną. Jestem starym idiotą.

W ciągu następnych tygodni musiałem oddać Jackowi kilka z jego narzędzi, po tym, jak mi się przyznał, że nie może znaleźć młotka czy piły.

– Nie chciałbym się naprzykrzać, ale może mógłbym pożyczyć od ciebie na kilka dni?

Zauważyłem też, że zrobił się jakby wolniejszy i coraz rzadziej chodził ze mną na plażę. Któregoś ranka na początku lata, gdy zapukałem do jego drzwi, Jack nie odpowiedział. To się nigdy wcześniej nie zdarzyło.

Poszedłem przez dziurę w ogrodzeniu sam, z lornetką przewieszoną przez szyję na skórzanym pasku. Gdy dotarłem do wzniesienia nad plażą, wyjąłem ją z futerału i zlustrowałem horyzont. Zobaczyłem mnóstwo ptaków, przede wszystkim mewy, ale ani śladu po rybitwie popielatej Jacka.

Gdyby był ze mną, Jack by mnie zapytał:

– Widać coś dzisiaj?

Odpowiedziałbym tak, jak zwykle:

– Nie, nic, Jack.

Przez moment byłby lekko rozczarowany, po czym by się ożywił.

– Jutro. Może jutro.

Po zlustrowaniu nieba poszedłem przez piaskowe wydmy wzdłuż plaży do miejsca, gdzie według Jacka na pewno wróci ptak. Nie było go. Odwróciłem się w stronę domu i zobaczyłem kogoś daleko na plaży, kogoś, kto się ode mnie oddalał. Zdziwiłem się, gdy rozpoznałem jego szczupłą sylwetkę. Byłem pewien, że to Jack. Podniosłem lornetkę do oczu. Zmierzał w stronę plaży do surfowania.

Pobiegłem za nim, wołając:

– Jack! Jack!

Odwrócił się dopiero, gdy prawie się z nim zrównałem. Przyjrzał mi się uważnie, z pewną podejrzliwością.

– Ronnie? Ronnie? — Zrobił krok wstecz. — To ty, Ron? A niech mnie. Gdzieś ty się przez ten cały czas podziewał?

Wyciągnąłem do niego rękę.

– Jack, przepraszam, że cię dzisiaj rano nie złapałem. Musiałem zaspać. No, chodź. Pójdziemy razem do domu.

Przesunął wzrokiem po plaży tam, gdzie nastoletni chłopcy leżeli na trawiastym nabrzeżu ponad plażą do surfowania. W swoich ciemnych, lśniących w słońcu piankach wyglądali jak kolonia fok.

Jack odwrócił się i spojrział w kierunku, skąd przyszedł. Wbił wzrok w piasek, w odciski stóp, jakie na nim zostawił kilka minut wcześniej. Powiodł po nich wzrokiem dalej wstecz, wzdłuż plaży. Nadchodząca fala przełamała się nad nimi łagodnie i je pochłonęła.

– Do domu?

Robił wrażenie dezorientowanego.

– Tak, Jack, do domu. Powinniśmy wracać.

W tym momencie coś w nim zaskoczyło. Dezorientację zastąpiła pełna spokoju mina. Potem na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech rozpoznania. Spojrział na moją wyciągniętą do siebie dłoń, jakby to była niezamierzona zniewaga wymierzona w jego niezależność.

Odepchnął mnie na bok.

– Chodź, synu. Chcę ci coś pokazać.

Nadchodzi zima. Od tamtego poranka Jack nie chodzi już ze mną na plażę. Nieco ponad tydzień temu właśnie tam szedłem, gdy rozpętała się burza. Ulewny deszcz przemoczył mój wełniany sweter i luźne spodnie od dresu. Zastanawiałem się nad powrotem do domu, albo przynajmniej zaopatrzeniem się w płaszcz przeciwdeszczowy. Zatrzymałem się na moment, żeby zdecydować, co robić.

Niebo wisiało nisko nad horyzontem, sine od ciężkich chmur. Porywisty wiatr z południa siekł moją twarz deszczem. Wydawało się, że nie ma sensu wyciągać lornetki z futerału, ale i tak ją wyjąłem i zlustrowałem horyzont.

Najpierw wypatrzyłem statek towarowy załadowany różnokolorowymi kontenerami. Rzucało nim na spienionym morzu jakby był zabawką zbudowaną z klocków Lego. Podniosłem lornetkę wyżej w stronę nieba. Jakiś cień mignął mi na tle chmur, a potem zobaczyłem ciemną plamę ptaka.

Choć trwało to przelotnie, nie miałem wątpliwości, że właśnie zobaczyłem rybitwę. Widziałem ją tylko przez parę sekund, po czym zniknęła. Przysiadłem na wzgórzu i przez pół godziny czy nawet dłużej wpatrywałem się w linię horyzontu, ale ptak więcej się nie pojawił.

Gdy wróciłem do domu, byłem przemoczony do szpiku kości i dygotałem z zimna. Wrzuciłem ciuchy do pralki, wziąłem prysznic i przeanalizowałem myśli,

które zaprzętały mi głowę podczas powrotu z plaży. Ubrałem się i wyszedłem z domu, obszedłem żywopłot i znalazłem się w ogrodzie frontowym Jacka. Zapukałem kilka razy do drzwi, ale nie odpowiedział. Wróciłem do domu i zrobiłem sobie filiżankę herbaty. Poszedłem do dużego pokoju i przejrzałem kolekcję płyt CD, aż znalazłem odpowiednią „muzykę do pisania“: Iron and Wine.

Usiadłem przy biurku otoczony stęchłym zapachem książek o traktorach i naoliwionych, metalowych powierzchni. Oto, co wtedy napisałem:

Rybitwa ma ostry, krwistoczerwony dziób i nosi czarny kaptur z białą czapeczką. Gdy żeruje na łąkach i wydmach, gdzie zakłada gniazda, jej prawdziwe piękno pozostaje ukryte pod warstwą matowych, szarych piór. Lecz gdy rozpościera skrzydła do lotu, a zwłaszcza, gdy szybuje — co robi, by oszczędzić energię — odsłania swoje świetliste, bogate kolory. Rybitwa to silny i piękny ptak.
Przełożyła Anna Blasiak

TYSIĄC SŁÓW NA ŚNIEG



Xiaolu Guo, Londyn

Wstęp

Na wodzie unosi się wielka góra lodowa. Gdyby zmienić się w ptaka lub rybę i podążać za tą górą wystarczająco długo, trafiłoby się na Grenlandię. Można byłoby tam zobaczyć zamrożoną mewę na śniegu, albo szkielet wielkiego woła piźmowego na zboczu wzgórza. Można byłoby też napotkać tę inuicką rodzinę w niewielkim igloo. Nasza opowieść zaczyna się przy tym igloo.

To co teraz robią? Jak zdarza się każdej rodzinie, zgromadzili się dookoła, zajęci domowymi obowiązkami. Matka gotuje, jej trzech synowie karmią psy. Czasem pomagają matce w przygotowywaniu jedzenia. Ich ojciec zmarł dawno temu, na polowaniu, podczas burzy śnieżnej. Najmłodszy syn to Tekkeit Qaasuitsup. Ma tylko dziewiętnaście lat i sześć miesięcy, ale jest bohaterem w tej okolicy i wszyscy nazywają go Bystry Tekk. To on dobrze mówi po angielsku i wypuścił się na podróże daleko w świat. Trafił na pierwsze strony gazet od Niemiec po Amerykę, od Rosji po Australię. Właśnie opowiada krewnym o swojej niedawnej przygodzie:

– Powiedziałem ludziom w Niemczech, że aput nazywamy śnieg, który leży na ziemi; qana to padający śnieg, a pigsipor to nagromadzony śnieg; mentlana jest różowy, a suletlana zielony. I że klin to pamiętany śnieg, a naklin to zapomniany. Niemców to zaciekało, więc pytali, czym jest „pamiętany“ i „zapomniany“ śnieg. Powiedziałem, że nie da się spamiętać każdego śniegu, który się widziało. Pamięta się tylko jego część z całego swojego życia. Na przykład śnieg przykrywający martwe ciało naszego ojca, motela, ten śnieg zapamiętuje się na zawsze...

1

Nasz młody Nanuk śpi w łóżku. Ale to nie Grenlandia. Na zewnątrz słychać ruch uliczny i szum samolotów. Okno jest dokładnie zasłonięte, ale i tak wkrada się promień porannego słońca, który rozświetla ciemności.

Tekk otwiera jedno oko. Rozgląda się po tym dziwnym miejscu i ma wrażenie, że wciąż śni. Na powrót zamyka oko. Sny, z których się właśnie ocknął, raczej nie pasują do tego otoczenia. Śniło mu się, że pływa z młodym niedźwiedziem polarnym, choć zwierzę go wyprzedziło, ponieważ niedźwiedzie te słyną z umiejętności pływackich. Tekk musiał zrezygnować z wyścigu. Teraz wydaje mu się, że ma mokrą twarz: pewnie od wody, w której pływał. Ale co śni mu się teraz? Tekk znów otwiera oczy i przesuwa głowę po miękkiej poduszce. No dobrze, jest telewizor zawieszony na ścianie, lodówka, biurko, krzesło, lustro, szafa i łazienka przy łóżku. Wszystko jawi mu się wyraźnie. Czyli to nie sen. Tekk siada z mętlikiem w głowie. Potem nagle rozpoznaje pomarańczową walizkę stojącą na dywanie na środku pokoju. Rodzina kupiła mu ją, całkiem nową, na wyjazd z Grenlandii. Nie, to nie sen: to rzeczywistość. Jest gdzieś w Niemczech. Widocznie wylądował tam poprzedniego dnia, po bardzo długiej i skomplikowanej podróży. Jak przez mgłę pamięta, że siedział w dalekobieżnym autobusie, potem przesiadł się do małej awionetki, potem znalazł się na wielkim międzynarodowym lotnisku, a później leciał ogromnym samolotem, w którym uśmiechnięta stewardesa podawała mu darmowe wino i alkohol, a potem... więcej nie potrafi sobie przypomnieć.

Ktoś puka do drzwi. Tekk ani drgnie. Znów pukanie. Bez słowa opuszcza stopy na dywan. Słyszy, że ktoś przekręca klucz w zamku i otwiera drzwi. Wchodzi młoda, biała kobieta w uniformie, z odkurzaczem. Tekk wzdryga się z zaskoczenia i pyta łamaną angielszczyzną:

– Kim jesteś?

Zdaje sobie sprawę, że ostatnio nie ćwiczył angielskiego.

Kobieta wygląda na skruszoną, kiedy zdaje sobie sprawę, że gość jest wciąż w pokoju.

– Entschuldigen Sie! Mam wrócić później? — pyta.

Ale Tekk ją zatrzymuje:

– Czeka, nie idziesz!

– Słucham pana. – Kobieta odwraca się do niego.

– To Berlin, tak?

– Tak – odpowiada z uśmiechem.

– A gdzie w Berlinie?

– Jest pan w Hotel Kantstrasse, blisko berlińskiego zoo.

– Berlińskie zoo? – powtarza Tekk, zdumiony.

– To znaczy to jest hotel, nie zoo — tłumaczy kobieta równie niepewną angielszczyzną — ale jesteśmy niedaleko berlińskiego zoo.

Tekk nie odpowiada, więc kobieta powtarza pytanie:

– Chce pan, żebym posprzątała teraz, czy mam wrócić później?

Tekk wlepia wzrok w pokojówkę, kręci słabo głową.

Kobieta wychodzi wraz z odkurzaczem, zamyka za sobą drzwi. Tekk siada.

Uświadamia sobie, że zasnął w ubraniu. Dotyka głowy i nie czuje na niej nic poza krótkimi włosami. Gdzie jego czapka z futra morsa? Tekk kocha tę starą futrzaną czapkę. Nie może wędrować po świecie z gołą głową. Dostrzega czapkę na biurku przy oknie. Chwyta ją i wciska na głowę. Czuje się trochę lepiej. Rozsuwa zasłony. Światło zalewa pokój. Otwiera okno. Widzi dachy miasta i wielkie tablice reklamowe na wysokich budynkach. Na jednej dostrzega napis „Benz“, na drugiej — „BMW“. Patrzy w dół. Ulice i samochody wyglądają jak zabawki. Kręci mu się w głowie. Zamyka okno. Znów krąży po wyłożonym dywanem pokoju, próbując przyzwyczać się do tej przestrzeni.

Wchodzi do łazienki. Umywalka ma dziwny kształt, jak wielki kwiat lotosu — nie żeby Tekk widział w życiu dużo wielkich kwiatów. Dotyka zlewu i automatycznie zapala się krąg światełek, jak w filmie science-fiction. Tekk gapi się na lśniąca umywalkę, próbuje pojąć, gdzie jest żarówka. W końcu się poddaje. Musi się umyć. Nie ma jednak kurka,

który mógłby odkręcić. Przesuwa dłoń pod kranem, ale nic się nie dzieje. Właśnie kiedy się pochyla, żeby sprawdzić, czy z kranem wszystko w porządku, tryska strumień wody, moczając mu twarz i głowę.

- Tiaavuluk! - Tekk klnie, chwytając ręcznik, wyciera twarz. Otwiera lodówkę; pełno w niej buteleczek wina i wódki. Wyciąga wódkę i wypija ją prosto z gwinta. Smakuje mu, przyjemnie szczypie w suchych ustach. Tekk siada na łóżku i sączy dalej, jakby pił wodę mineralną. Znów sięga do lodówki i znajduje paczkę orzeszków ziemnych. Zjada całą, a potem bierze jeszcze jedną wódkę i colę. Kiedy kończy drugą butelkę alkoholu, słyszy dzwonek.

Otwiera drzwi. Stoi za nimi wysoki, przystojny, uśmiechnięty Europejczyk.

- Dzień dobry. Pan Tekkeit Qaasuitsup? Mogę wejść?

Tekk kiwa głową. Mężczyzna wchodzi i od razu podaje mu dłoń.

- Jestem Hans. Pracuję dla tegorocznej Międzynarodowej Konferencji Klimatycznej. Będę panu towarzyszył podczas pobytu tutaj.

- Wszyscy mówią mi Tekk - odpowiada trochę nieśmiało.

Jasne, Tekk. Znam trochę grenlandzkiego, ale nie będę się wygłupiał. Czy to twoja pierwsza wizyta w Berlinie?

- Tak - Tekk kiwa głową, ale ma wrażenie, że rozmówca patrzy na niego z wyższością, więc dodaje: - Ale byłem raz w Kopenhadze, i w Stavager. Byłeś kiedyś w Stavager?

- Hmm... - Hans kręci głową. Pierwszy raz słyszy tę nazwę. - Nie jestem pewien. Czy to w Danii?

- Nie - śmieje się Tekk. Hans zwraca uwagę na jego głośny, nieskrępowany głos i to, że śmieje się z przyjemnością. - W Norwegii! Mają tam taki domkirke. Bardzo duży.

- Domkirke? - Hans nie nadąża już za chłopcem. Poza tym trochę go niepokoi silna woń wódki w pokoju.

- Tak, domkirke. Wielka, stara katedra. Bardzo straszna w środku.

Hans postanawia, że nie usiądzie. Zerka na zegarek, jakby się spieszył.

- Dobrze wiedzieć, Tekk. Jeśli kiedyś pojedę do Stavager, odwiedzę domkirke. Teraz jednak mamy niewiele czasu. Jeśli jesteś gotowy, zabiorę cię na śniadanie. Mamy potem plany na całą resztę dnia.

Tekk się zgadza i zakłada wełniane buty. Idzie za Hansem do drzwi.

- Nie zapomnij klucza! - Hans zabiera kartę i zamyka za nimi drzwi.

2

Kawiarnia jest piękna, na ścianach wiszą obrazy. Siedząc na tak miękkich poduszkach Tekk czuje się trochę nieswojo. Hans zamówił im już śniadanie. Podchodzi kelnerka i podaje im talerze: sałatkę owocową dla Hansa i omelet dla Tekka.

Tekk wlepia jednak wzrok w talerz, nie rusza jedzenia.

- Mówiłeś chyba, że lubisz jajka? - Hans nachyla się, zatroskany.

- Tak. Ale nie mają tu mięsa?

- Mięsa? Jasne, jest w omelecie - mówi Hans.

Tekk podejrzliwie trąca omelet widelcem. Rzeczywiście: w środku jest trochę szynki. Zajada szybko, ale widać, że jest niezadowolony.

- Myślałem, że będzie prawdziwe mięso.

- Chcesz prawdziwego mięsa. Dobrze, poproszę o talerz wędzonej szynki.

Hans woła kelnerkę i zamawia szynkę. Po chwili dostają półmisek różowego mięsa ozdobionego plasterkami melona.

Tekk w końcu się rozpogadza. Natychmiast, ku konsternacji siedzących dookoła, wyciąga z kieszeni własny nóż z kości morsa. Pod milczącym spojrzeniem innych gości młody Nanuk wbija plasterki mięsa na czubek noża i pożera je łapczywie. Hans mu się

przygląda, ale nie odzywa ani słowem.

Szynka znika w mgnieniu oka. Na talerzu zostaje tylko melon.

Tekk czyści ostrze kościanego noża białą serwetką i ociera usta. Potem mówi:

– Wiesz, Hans, to mięso jest za miękkie. Lubię twarde mięso, jak karibu, które jemy na Grenlandii.

– Tak, mięso karibu! Niestety nie mamy go w Niemczech.

– Powinieneś spróbować: jest twardsze. Dobre na zęby.

Hans dojada sałatkę owocową i w końcu mówi:

– Jestem wegetarianinem.

– Co to jest wegetarianin?

– Ktoś, kto nie je mięsa.

– Dlaczego? – Tekk patrzy na swojego niemieckiego towarzysza ze zdumieniem. – Nie masz zdrowych zębów?

– Mam bardzo zdrowe zęby – odpowiada rozbawiony Hans. – Jeszcze nie jestem starszkiem! Ale to nie ma nic wspólnego z zębami. Tylko... Jak by to ująć? – Chwilę się zastanawia, a potem stwierdza: – Jedzenie mięsa zwierząt źle wpływa na środowisko. Nie jest też zdrowe.

Tekk przygląda się Hansowi ze zdziwioną miną. Chce mu się śmiać, ale próbuje być uprzejmy. Mówi tylko:

– Moja rodzina mi nie uwierzy, jak im to powiem. Wiesz, tylko karibu jedzą trawę.

Hans wzrusza ramionami.

– No to jestem karibu. Jem trawę, a ty możesz zjeść mnie. Tworzymy wspólny łańcuch pokarmowy!

– Wy, Niemcy, jesteście dziwni – mówi Tekk, nieco urażony.

Hans dopija kawę i wyciąga portfel.

– Chyba powinniśmy ruszać. Chcę cię oprowadzić po okolicy.

Ale Tekk ma problem ze wstaniem od stołu. Jest trochę senny po wódce wypitej rano w pokoju.

– Hej, napij się wody – Hans podaje mu szklanekę.

3

Hans i Tekk idą ulicą jak duet z komedii: jeden bardzo wysoki, drugi dość niski. Jeden rusza się szybko, drugi powoli. Wędrują w stronę Savignyplatz. Dookoła pełno jest kafejek i barów. Tekk rozgląda się, idąc chwiejnym krokiem, ciekaw otaczającego go świata. Wszyscy mijający go ludzie widzą, że jest pijany. To dziwny widok: pijany Inuit w futrzanych ubraniach zataczający się po modnej dzielnicy Berlina. Hans próbuje go prowadzić, kiedy przechodzą przez jezdnię.

Mijają bar ozdobiony światłami i neonami. Na chodniku przed lokalem stoją stoliki z krzesłami. Pani w krótkiej spódniczce rozmawia z towarzyszem. Jej odsłonięte nogi wydają się Tekkowi bardzo pociągające.

Zmierza niepewnie w stronę kobiety w mini. Bez słowa kładzie głowę na jej białych, nagich kolanach. Zszokowana kobieta się cofa, a dostrzegłszy, że jest pijany, zaczyna krzyczeć. Jej towarzysz wstaje i odpycha Tekka. „Was ist loss mit dir, Mensch?“ – gromi go.

Hans interweniuje: odciąga Tekka w samą porę, gorąco przeprosza zirytowaną parę.

Kilka chwil później Tekk stoi przed wielkim budynkiem ze szklaną fasadą.

– To siedziba Międzynarodowego Centrum Badań nad Zmianą Klimatu – mówi

Hans, pchając Tekka do windy. – Przedstawię cię przewodniczącemu i organizatorom konferencji.

– Po co? – W windzie Tekk czuje, że pęka mu głowa. Płaczą mu się nogi i jest mu

niedobrze.

– Ponieważ to oni cię tutaj zaprosili i płacą za twój hotel. Bardzo chcieliby, żebyś zabrał głos na konferencji.

Wchodzą do biura, gdzie muszą chwilę poczekać, ponieważ przewodniczący jest na spotkaniu. Tekk zapada się w sofę. Kiedy Hans wraca z łazienki, okazuje się, że jego towarzysz już śpi, głośno chrapiąc.

Hans czeka cierpliwie na sofie; jeden z organizatorów podchodzi, żeby się z nimi przywitać. Widząc jednak, w jakim stanie jest ich gość, proponuje:

– Może pozwolimy temu biedakowi dziś odpocząć, pozwiedzać, jeśli będzie miał ochotę. Może wrócić na konferencję jutro.

Hans się zgadza.

Po południu zabiera Tekka do Tiergarten, gdzie młodzieniec czuje się znacznie lepiej i nabiera energii. Wchodząc w głąb parku mijają staw. Kaczki spokojnie unoszą się na wodzie. Obaj zauważają parę płynącą małym kajakiem. Tekk wlepia w niego wzrok, a jego serce przepełnia tęsknota. Kiedy ludzie w kajaku do niego machają, odbiera to jako zaproszenie. Rusza biegiem wzdłuż brzegu i nie rozbierając się wskakuje do stawu, żeby popłynąć w ich stronę. Para wygląda na nieco przestraszona i speszona. Tekkowi błyskawicznie udaje się wspiąć na łódkę.

Śmieje się i świetnie bawi w swoim nowym kanoe. Choć Hans krzyczy i gestykuje z brzegu, Tekk wyrwa wiosło z dłoni mężczyzny i zanurza je w wodzie. Hans biegnie brzegiem i krzyczy do pary w kajaku: „Proszę wybaczyć mojemu przyjacielowi! Jest z Grenlandii... Nie zna tutejszych zasad!“

4

Konferencja prasowa odbywa się rano. Kiedy gromadzą się delegaci, grono szacownych mówców siedzi już na scenie. Tekk też na niej jest; ma na piersi plakietkę z imieniem. Posadzono go przy końcu stołu, obok Hansa.

Przewodniczący wygłasza mowę powitalną i podkreśla ogromne znaczenie badań nad zmianą klimatu. Podczas długiego przemówienia Tekk zapada w drzemkę, garbiąc się na krześle. Potem przewodniczący przedstawia siedzących na scenie: naukowców, ekspertów, działaczy i innych. Tekka zapowiada jako „ostatniego Nanuka z Grenlandii, z plemienia mieszkającego na topniejącym lodzie“. Wybucha pełna entuzjazmu owacja, błyskają flesze. Hans daje Tekkowi do zrozumienia, że powinien wstać do zdjąć.

Przewodniczący mówi dalej:

– Tekkeit Qaasuitsup, jeden z ostatnich Nanuków z Grenlandii Północnej, opowie nam w nadchodzących dniach o tradycyjnym stylu życia swojej rodziny i tym, czego możemy się nauczyć o kulturze inuickiej. Nie będę już przedłużał: zacznijmy konferencję...

Kilka godzin później wielkie zbliżenie twarzy Tekka pod futrzaną czapką pojawia się we wszystkich berlińskich mediach. Nagłówki nad zdjęciem brzmią na przykład: „Ostatni Nanuk w mieście!“ albo „Co Eskimosi sądzą o współczesnym świecie“.

Konferencja przebiega bez problemów i wkrótce nadchodzi pora przerwy na lunch. Delegaci kierują się w stronę bufetu w jadalni przylegającej do bujnego ogrodu. Wielu ludzi podchodzi do Tekka, aby uścisnąć mu dłoń, zapytać o rodzinę i podróż. Jego uwagę przykuwa coś innego.

Obserwuje młodą kobietę w czerwonej sukience, która idzie przez ogród. Hans podąża wzrokiem za jego oczami i widzi brunetkę niosącą między rabatami kruka w klatce.

– Widziałeś to, Hans? Tego czarnego ptaka?

– Tak. To był kruk – odpowiada zaciekawiony Hans. – Kruk w klatce. Pierwszy raz w

życiu widzę oswojonego kruka.

Przyglądają się kobiecie, która, zdaje się, wyczuwa ich spojrzenie i ogląda się za siebie. Uśmiecha się do nich tajemniczo, a kiedy tylko Tekk wbiega do ogrodu – znika.

– Sedna! Znalazłem moją Sednę! – krzyczy Tekk.

– Co to jest Sedna? – Hans wychodzi za nim na zewnątrz.

– Sedna! Inuicka bogini mórz!

– Masz na myśli kruka czy kobietę? – pyta Hans.

– Kobietę! Nazywa się Sedna!

– Okej, uspokój się, Tekk – mówi Hans. – Opowiesz mi, kto to jest?

– Tak. Była przepiękną Inuitką z długimi czarnymi włosami, tak jak ona. – Tekk wciąż krąży niespokojnie po ogrodzie z nadzieją, że znów zobaczy tę scenę. – W naszej okolicy wszyscy znają tę historię. Ponieważ Sedna była tak piękna, odrzucała myśliwych, którzy przychodzili do jej domu w zalotach. Jej rodzina żyła jednak w biedzie, więc ojciec chciał wydać ją za męża. Powiedział: „Sedna, nie mamy co jeść i wkrótce będziemy głodować. Potrzebujesz męża, który by się tobą zaopiekował, więc musisz poślubić następnego myśliwego, który przyjdzie prosić o twoją rękę!“ Pewnego dnia przed ich igloo pojawił się łowca w gładkim czarnym futrze i poprosił ojca Sedny o jej rękę. Sedna się zgodziła, choć nie widziała nawet twarzy mężczyzny. Wsadzono ją do kajaka myśliwego i popłynęła do swojego nowego domu. Wiesz, co to jest kajak?

– Tak, wiem, co to jest kajak. No i co stało się z nią i jej dziwnym mężem?

– Podróż była daleka. Padał śnieg, wiało. Otulili się grubymi ubraniami. Przez cały ten czas Sedna ani razu nie widziała twarzy swojego nowego męża. W końcu dotarli do jakiejś wyspy. Sedna się rozejrzała; nie zobaczyła ani chaty, ani namiotu, ani garnków, tylko nagie skały i klif. Jej nowym domem było kilka kępek zwierzęcego futra i piór rozrzuconych po twardych, zimnych kamieniach. Kiedy stanęli na lądzie, myśliwy stanął przed Sedną i zsunął kaptur. Zaśmiał się złowrogo. Nie zgadniesz!

– Nie był człowiekiem, tylko krukiem! O to chodzi w tej historii? – Hans się uśmiecha.

– Tak, bystrzy ludzie z was Niemców! Był wielką, brzydką, czarną wroną!

– I co dalej? Mieszkała z tym ptaszyskiem przez resztę życia? – pyta niecierpliwie

Hans, świadom, że wszyscy dookoła kończą już lunch, choć oni sami nie zaczęli jeszcze jeść.

– Oczywiście nie chciała z nim żyć. Ale jej dom był daleko. Nie mogła tak po prostu sama wrócić...

Właśnie wtedy podchodzi organizator konferencji i przerywa Tekkowi:

– Cześć, Tekk, Hans. Mam nadzieję, że podoba się wam dzisiejsza konferencja prasowa?

Tekk wymienia z nim uścisk dłoni. Uświadamia sobie, jaki jest głodny. Biegnie do stołu, chwytając talerz i nakłada sobie jedzenie.

– Jak najbardziej. Oby tylko nasz grenlandzki przyjaciel wytrzymał cały tydzień obrad! – Hans wita jednego z organizatorów, jednocześnie ładując sobie na talerz sałatkę.

– Bez obaw. Jeśli się znudzi, możecie pozwiedzać. W Berlinie jest dużo miejsc, które warto zobaczyć: Muzeum Holokaustu, Checkpoint Charlie i tak dalej. Co o tym myślisz, Tekk?

Tekk szczyrzy zęby odruchowo. Jest zajęty swoim sznycem.

– Jak ci się podoba Berlin, Tekk? Widziałeś już naszego słynnego niedźwiedzia? – pyta mężczyzna.

– Niedźwiedzia? – Zaskoczony Tekk przelyka kęs mięsa. – Macie niedźwiedzie w Niemczech?

– Tak, mamy własnego sławnego niedźwiedzia polarnego. Nazywa się Knut.

– Żartujesz! – Tekk przestaje jeść. – Gdzie on jest? Możemy pójść do niego teraz? –

dopytuje się gorączkowo, odwracając się błagalnie do Hansa.

- Teraz nie - odpowiada Hans ze śmiechem - ale może później, jeśli nie będziesz zbyt zmęczony.

Dziennikarze tłoczą się dookoła nich, namawiają Tekka, żeby założył futrzaną czapę i uśmiechnął się do obiektywu. Tekk pozuje, ale nie potrafi zdobyć się na uśmiech.

5

Tekk i Hans stoją w kolejce do berlińskiego zoo. Przed wejściem czeka wielu ludzi. W końcu Hansowi udaje się dostać dwa bilety.

Na Tekku od razu robi wrażenie skala zoo, jego bujna roślinność i sztuczne wzgórza. Zadaje mnóstwo pytań.

- Czyli ludzie znajdują różne zwierzęta i wsadzają je tutaj, zamiast je zabić?

- Tak. Dzięki temu możemy je oglądać; prawdziwe tygrysy jedzą i biegają na naszych oczach.

- Tygrys! - wykrzykuje Tekk. - Widziałem je w telewizji. Bardzo straszne zwierzęta! Nie chcę na nie patrzeć. Nie idźmy do nich, proszę.

- Dobrze, żadnych tygrysów - mówi Hans z uśmiechem, prowadząc go w głąb zoo.

- Dopilnuję, żebyś nie zobaczył żadnego zwierzęcia, którego nie chcesz oglądać. Ale nie skończyłeś jeszcze opowieści o Sednie! Co stało się po ślubie pięknej dziewczyny z okropnym krukiem?

- Tak... Sedna odkryła, że jej mąż jest zwykłą wroną. Przestraszona i smutna próbowała uciekać, ale ptaszysko ciągnęło ją wtedy na skraj klifu i groziło, że ją zepchnie. Błagała ją też, żeby była jego towarzyszką, bo nie mogło znieść swojego samotnego życia. Została więc żoną kruka, zamieszkała na nagiej skale. Kruk każdego dnia wylatywał i wracał z surowymi rybami. To było jej jedyne pożywienie. Płakała bez końca, wołając ojca. Wyjące arktyczne wiatry zanosły szloch Sedny aż do uszu jej ojca, który rozpoznał te nawoływania i pojął, że to zawodzi jego córka. Pewnego dnia...

Tekk przerywa opowieść. Jego uwagę przyciągają jakieś wielkie zwierzęta przed nimi. Na jego twarzy maluje się udręka i przestach. Znaleźli się przed wybiegiem goryli. Okazuje się, że Tekk nigdy wcześniej nie widział goryla. Śmieje się przez łzy na widok tych ogromnych, czarnych, podobnych do ludzi zwierząt.

- Może one są też ludźmi, jak myślisz, Hans? - pyta Tekk drżącym głosem.

Kiedy jeden z goryli się do nich zbliża, Tekk nieruchomieje. Potem nagle pada na kolana twarzą do ogrodzenia i zaczyna modlić się do zwierzęcia.

Hans obserwuje dziwne zachowanie Tekka z uniesioną brwią, ale się nie odzywa. Idą w stronę wybiegu żyraf. Tekk uważnie przygląda się wysokim zwierzętom, podziwia ich długie szyje.

- Chciałbym mieć tak długą szyję: z daleka widziałbym, czy nie zbliża się wróg. - Potem znów klęka. - Hans, musimy się pomodlić. Inaczej one się na nas któregoś dnia zemszczą.

Hans wzrusza ramionami i patrzy, jak Tekk modli się do zwierząt, mamrocząc bezgłośnie.

W końcu zmierzają w stronę najslynniejszej atrakcji turystycznej zoo: niedźwiedzia polarnego. Dookoła tłoczą się turyści. Wszyscy czekają przy ogrodzeniu z aparatami i komórkami. Według ostatnich doniesień prasowych sławny niedźwiedź nie pojawił się od kilku dni.

Jednak kiedy tylko Tekk podchodzi do ogrodzenia, coś się zmienia. Zza sterty głazów stopniowo wyłania się białe cielsko. Odwiedzający z wyczekiwaniem podnoszą aparaty. Tekk wlepia wzrok w wielkiego niedźwiedzia, słynnego Knuta, który siedzi na kamieniu nad wodą i wygląda na znudzonego i samotnego. Nie zwraca uwagi na turystów i

nieustający błysk fleszy; obserwuje otaczającą go płytką wodę.

– Och, Tekk, masz szczęście, że możesz zobaczyć gwiazdę naszego miasta. Przynosi nam jakieś 2 miliony euro dochodu rocznie – mówi cokolwiek podekscytowany Hans.

– Jak to? – pyta Tekk.

– Jak? Widzisz tych wszystkich ludzi? Kupili bilety tylko dlatego, że chcą zobaczyć niedźwiedzia polarnego.

– Knut... – mruczy pod nosem Tekk. – Na Grenlandii nie chcemy oglądać niedźwiedzi twarzą w twarz. Życzymy im jak najlepiej, ale nie mamy ochoty zapraszać ich, żeby podeszły bliżej.

Pojawia się grupa uczniów. Przepychają się przed Tekka i podskakują, chcąc dojrzeć niedźwiedzia-gwiazdora.

– No cóż, od kilku miesięcy Knut nie jest zbyt szczęśliwy. Niektórzy eksperci twierdzą, że tęskni za swoim naturalnym otoczeniem albo brakuje mu towarzystwa. Rzeczywiście sprawia wrażenie smutnego. Czasami nie wychodzi nawet zażyć słońca. Chowa się tylko w grocie, żeby nikt go nie widział.

Tekk zdaje się świetnie rozumieć tę sytuację. Mówi:

– Zrobiłbym to samo, gdyby mnie wsadzili do wielkiej klatki. Pewnie bym umarł po trzech dniach.

Im dłużej Tekk przygląda się niedźwiedziowi, tym bardziej jest wstrząśnięty. Stoi jak wryty, jakby był zaklęty. Ściska mocno ogrodzenie. Śledzi oczami każdy ruch niedźwiedzia.

– Myślę, że on mnie zna... – mówi jak we śnie.

Wygląda na to, że pod jego spojrzeniem Knut w końcu zaczyna reagować. W oczach zwierzęcia lśni smutek i nadzieja. Tekk jest jak w transie i wciąż szepcze:

– Och, Hans, on na mnie patrzy. Myślę, że mnie zna...

6

Nad zoo duje wiatr, niosąc ze sobą wycie syren i szum ruchu ulicznego. Knut nagle ryczy gniewnie, z bólem. Powoli wraca do groty i postanawia się ukryć na jakiś czas. Tekk przytomnieje, trze oczy. Hans pyta go, czy dobrze się czuje. Tekk nie odpowiada, z pochyloną głową ściska sztachety. Potem nagle – jakby ocykał się ze snu – wznawia opowieść o czarnym kruku.

– Mówiłem ci, że Sedna musiała zostać żoną kruka. Codziennie płakała gorzko na skraju klifu. W końcu jej ojciec usłyszał szloch córki przez zamieć. Miał wielkie wyrzuty sumienia z powodu krzywdy, którą jej wyrządził. Postanowił więc, że czas ją uratować. Zabił wielkiego morsa, przygotował zapasy na kilka dni. Załadował kajak jedzeniem i wodą, po czym ruszył w kierunku, z którego niósł się płacz. Przez trzy dni wiosłował po lodowatych wodach do domu Sedny. Kiedy tylko zbliżył się do wyspy jej męża, zobaczył na klifie postać w czerwieni. Rozpoznał córkę; miała na sobie tę samą czerwoną suknię, co w dniu, kiedy opuściła dom. Na widok ojca Sedna poczuła takie zaskoczenie i radość, że pobiegła w jego stronę i wspięła się do kajaka. Bez wahania odpłynęli. Po wielu godzinach podróży spojrzeli za siebie i zobaczyli w oddali czarną kropkę. Wiedzieli, że leci za nimi rozgniewany mąż Sedny.

W tej chwili niedźwiedź wyje dwukrotnie w jaskini, jakby słyszał tę opowieść i dobrze ją rozumiał. Potem wychodzi z groty. Tekk przerywa; nie potrafi oprzeć się wpływowi niedźwiedzia. Zwierzę jakby patrzy mu w oczy.

– Może obejdźmy ogrodzenie dookoła między turystami – proponuje Tekk. – Żeby zobaczyć, czy faktycznie mnie poznaje.

Ruszają wzdłuż wybiegu i niedźwiedź na chwilę traci Tekka z oczu. Jednak po chwili na powrót odnajduje go w tłumie, jakby przebiegał między nimi jakiś prąd. Jednak

dwaj dozorczy nagle rozpraszają Knuta i wrzucają na jego wybieg plastikową fokę, chcąc zachęcić zgaszone zwierzę do ćwiczeń. To zdaje się budzi jego gniew: zeskakuje ze skały i zaczyna rozrywać fokę na kawałki.

Tekk odwraca się z niesmakiem. Odciąga Hansa na ławkę pod drzewem. Z westchnieniem podejmuje wątek:

– I tak wielki kruk puścił się w pościg za żoną, żeglując na wietrze. W końcu dogonił ich i zapikował nad kajakiem. Ojciec Sedny zamachnął się na niego wiosłem, ale chybił. Wielki ptak dręczył ich dalej. Potem opadł jeszcze niżej i zaczął machać skrzydłami nad oceanem. Wezbrała straszliwa burza. Spokojny dotychczas ocean wkrótce szalał, wściekle ciskając kajakiem. Ojciec Sedny był przerażony. Chwycił córkę i wyrzucił ją za burtę kajaka. „Masz swoją ukochaną żonę! Proszę, nie rób mi krzywdy. Weź ją!” – wrzeszczał. Sedna krzyczała i walczyła o życie, choć jej ciało drętwiało w lodowatej wodzie. Podpłynęła do kajaka i wyciągnęła dłoń, aż chwyciła skraj burty. Jej wystraszone sztormem ojciec myślał tylko o sobie, jak zawsze. Zaczął okładać palce Sedny wiosłem. Dziewczyna krzyczała, żeby przestał, ale to nie pomogło. Jej przemarznięte palce ułamały się i wpadły do oceanu. Powoli przeobraziły się w foki i odpłynęły. Znow spróbowała chwycić się łodzi ojca, ale i tym razem obił jej dłoń, które zamarzyły i odpadły. Osunęły się na dno morza i zamieniły w wieloryby i morsy. Sedna nie miała już sił i zaczęła tonąć.

– Co za smutna opowieść! – wzdycha Hans. – Ojciec jest równie podły jak kruk.

– Zrozpaczona Sedna zamieniła swoje ciało w zwierzęta morskie – ciągnął Tekk. – Jej włosy stały się milionami krewetek i rybek, jej jelita homarami i ośmiornicami, jej smutek przemienił się w wodorosty, a tęsknota w piaszczystą wydmę na plaży. Na końcu jej czerwona suknia zmieniła się w górę Mara niedaleko bieguna północnego, gdzie chroni ludzi przed przenikliwym wiatrem. Teraz wszystkie głodne inuickie rodziny mogą się pożywić dzięki bogatemu w wodne stworzenia morzu. Mogą budować chaty u stóp góry. To dlatego kiedy w naszej okolicy myśliwy upoluje fokę, kłeka twarzą w stronę góry Mara i wlewa nieco wody do pyska zwierzęcia, zanim je zabije... żeby podziękować Sednie. Jest naszą boginią mōrz.

– Ale co przytrafiło się jej okropnemu ojcu i złemu ptakowi? – pyta Hans.

– Obydwu dopadł niedźwiedź polarny. Co więcej, był to pan niedźwiedzi z tej okolicy i o wszystkim wiedział. Ukarzał więc kruka i ojca.

Tekk kończy opowieść. Obaj milkną, patrząc w dal. Za ogrodzeniem niedźwiedź wrócił już do jaskini. Hans widzi okazję, żeby opuścić zoo. Obiecuje Tekkowi, że następnego dnia wrócić zobaczyć znów Knuta.

7

Wieczór upływa Tekkowi bez większych atrakcji. Jest w jakiejś wytwornej restauracji z przepyszными owocami morza i mięsem na talerzu, jaśniejącymi świecami na stole i ciemnymi niczym atrament winami i złotym piwem. Udaje mu się jednak przełknąć tylko dwa kęsy pieczeni wołowej. Jest przygnębiony, choć wielu życzliwych delegatów próbuje nawiązać z nim rozmowę. On nie ma jednak słownictwa na rozmowy z kulturalnymi białymi Europejczykami. Nie potrafi się też wdać w wyrafinowane dyskusje o emisji dwutlenku węgla czy poziomie zakwaszenia wody morskiej. Tęskni za rodziną, ulubionymi psami, igloo, a przede wszystkim – za wolnością, którą czuje tylko w swoim naturalnym otoczeniu. Prosi Hansa, żeby odprowadził go do hotelu, podczas gdy inni raczą się winem i tartami z agrestem.

Później – kiedy jest już sam w swoim pokoju – Tekk czuje się nieco lepiej. Rozbiera się do bielizny, ale nie zdejmuje futrzanej czapki. Kocha swoją czapkę. Przypomina mu ona te wszystkie wspaniałe chwile, kiedy razem z ojcem ruszał na polowanie na morsy, i kiedy przyglądał się, jak ojciec obdziera zwierzęta ze skóry za pomocą noża. Tekk tęskni

za ojcem, choć wie, że jego martwe ciało leży bezsensownie głęboko pod śniegiem przy ich domu. Łzy niespodziewanie płyną mu z oczu.

Kładzie się na łóżku, wciska guziki pilota, przerzuca kanały telewizyjne.

Na jednym trwa program kulinarny, na innym jakaś opera mydlana rozgrywająca się w posiadłości bogaczy gdzieś w Europie, na kolejnym – kryminał z pościgami samochodowymi i strzelaninami. Tekk ogląda go przez chwilę, ale film jest po niemiecku. Wkrótce Tekk zaczyna się nudzić i poczucie osamotnienia powraca.

Wyłącza telewizję, leży nieruchomo, próbuje zasnąć.

Przez cienką ścianę słyszy, jak kocha się para w sąsiednim pokoju. Z każdą chwilą robią coraz większy hałas.

Tekk leży bez ruchu z szeroko otwartymi oczami, nasłuchując.

Następnego dnia prosi Hansa, żeby znów zabrał go do zoo. Tym razem Hans odprowadza go tylko do bramy i mówi, że będzie przy niej czekał za trzy godziny, ponieważ jest potrzebny przy obsłudze konferencji. Przez te trzy godziny spędzone w zoo bez niczyjego towarzystwa Tekk jest szczęśliwy. Idzie prosto w stronę wybiegu przyjaciela i wkrótce stoi przed Knutem, samotnym niedźwiedziem polarnym. Obserwuje każdy ruch zwierzęcia, ale starannie się chowa, żeby go nie zobaczyło.

Dziś przy wybiegu ekipa z kanału BBC kręci reportaż. Tekk przygląda się jasnowłosej dziennikarce, która mówi do kamery po angielsku:

– Tu BBC World Service! Jestem w berlińskim zoo przed wybiegiem Knuta, słynnego niedźwiedzia polarnego. Niemcy martwią się o niego. Oto, na czym polega problem: dozorczy powiedzieli nam, że Knut prowadzi samotnicze życie i często chowa się w jaskini. Przejawia też brak apetytu. Niedźwiedzie polarne odżywiają się zazwyczaj surowym mięsem, ale ostatnio Knut za nim nie przepada. Zamiast tego zaczął jeść ludzkie pożywienie, takie jak warzywa i ugotowane potrawy, a nawet croissantsy i chleb, który przynoszą mu turyści. Byliśmy ciekawi, czy słynny mięsożerca zostanie wegetarianinem. Za tydzień Knut będzie świętował wraz z opiekunami piąte urodziny i z pewnością zobaczymy sporo uroczych zdjęć z jego przyjęcia...

W tle niedźwiedź ryczy w stronę kamery. Dziennikarka wygląda na zaniepokojoną, ale koryguje uśmiech i mówi dalej. Wtedy jednak grupa działaczy na rzecz praw zwierząt tłoczy się przed obiektywem z uniesionymi transparentami i skanduje: „Klatki to zbrodnia!” Niedźwiedź robi wrażenie coraz bardziej niespokojnego. Tekk wychodzi zza drzewa i staje w polu widzenia Knuta, który po chwili zauważa przyjaciela. Stopniowo się uspokaja. Tekk zaczyna coraz głośniejszy recytować inuickie słowa. Jego śpiewna deklamacja wznosi się ponad hałasy protestujących i turystów. Niedźwiedź kołysze się, jakby do rytmu. Zwierzę i człowiek znów patrzą sobie w oczy.

To wtedy pozostali zdają sobie sprawę z dziwnej sceny rozgrywającej się między niedźwiedziem a ubranym w futro Azjatą przy ogrodzeniu, z którego piersi wydobywa się dźwięczna pieśń. W odpowiedzi Knut wydaje z siebie długi, smutny pomruk i unosi łeb, prostując grzbiet, jakby pozdrawiał Tekka. Nagle zapada cisza, przerywana tylko szumem ruchu ulicznego i nielicznymi odgłosami zwierząt. Tekk i niedźwiedź zastygają bez ruchu, nie spuszczać z siebie wzroku. Tłum i dozorczy się przyglądają. Potem jednak niedźwiedzia ogarnia rozpacz i połączenie między nimi pęka jak struna. Jakby zrzucając z grzbietu wielki ciężar Knut odwraca się i człapie do groty, szurając łapami po betonie. Tekk oddala się szybko, zanim ktokolwiek zasypie go pytaniami.

8

Tygodniowa konferencja ma się ku końcowi. Tego ranka Tekk ma wygłosić przemówienie. Ma tekst, z którym pomógł mu Hans. Ćwiczył przez kilka dni i teraz czyta go całkiem płynnie. Oto jego mowa:

„Drodzy delegaci Piątej Konferencji Klimatycznej, nazywam się Tekkeit Qaasuitsup i pochodzę z wioski na Grenlandii. Jestem zaszczycony, że mogę opowiedzieć wam o mojej rodzinie i plemieniu. Muszę przyznać, że nic nie wiem o globalnym ociepleniu ani zmianie klimatu, ale i tak chcę podziękować organizatorom za zaproszenie mnie do Berlina.

Oto moja opowieść: należę do inuickiego plemienia. Jesteśmy ludem zbieracko-łowickim. Jestem Nanukiem, czyli dobrym myśliwym. Pierwotnie słowo Nanuk oznaczało w moim języku „pana niedźwiedzi“. W naszej kulturze niedźwiedź polarny jest panem wszystkich niedźwiedzi. Tylko on może zdecydować, czy myśliwy zasługuje na to, żeby upolować i zabić niedźwiedzia; on też każe złych myśliwych, którzy nie przestrzegają zasad. Mój ojciec polował na niedźwiedzie i ja też to robię. Musimy sami zdobywać jedzenie. Blisko naszego domu nie ma żadnych sklepów. Od najbliższego supermarketu dzielą nas trzy dni podróży psim zaprzęgiem. Musimy więc łowić ryby i polować, żeby przeżyć. Jednak podczas polowania zawsze nasłuchujemy sygnałów od pana niedźwiedzi. Po przyjeździe do Niemiec byłem bardzo zaskoczony widząc, że nasz pan jest zamknięty w klatce w berlińskim zoo. Dlatego podczas pobytu tutaj każdego dnia musiałem tam iść i oddać mu cześć. Martwię się o niego. Mam nadzieję, że mnie któregoś dnia nie ukarze.

Na końcu chciałbym podziękować mojemu przyjacielowi Hansowi. Nauczył mnie dobrych manier i dzięki niemu wiem coś o europejskim stylu życia. Jednak nie jestem pewien, czy tak jak on zostanie wegetarianinem, ponieważ jeśli jemy dobre morskie stworzenia i tylko tyle, ile nam potrzeba, wegetarianizm nie jest konieczny. Nie da się zjeść trzech fok w tydzień. Każdego dnia da się zjeść tylko trochę. Dlatego dziwię się, że w supermarketach jest tyle jedzenia. Co się dzieje, kiedy w ciągu dnia nie uda się wszystkiego sprzedać? Czy resztę się wyrzuca, czy zostawia, żeby zgniła? W każdym razie wiem, że w dużych miastach jest więcej możliwości, ale wolę moją wioskę i już za nią tęsknię. Mam nadzieję wrócić tam jak najszybciej. To koniec mojego przemówienia. Przepraszam za mój angielski i dziękuję za uwagę.“

Po mowie wszyscy klaszczą i uznają Tekka za najbardziej uroczego uczestnika konferencji. Jego nowi fani natychmiast proszą go o zrobienie sobie z nimi zdjęcia. Chwilę później podchodzi do niego mężczyzna w eleganckim garniturze. Przedstawia się jako Werner Vidoni; jest dyrektorem berlińskiego zoo i specjalizuje się w zachowaniach zwierząt.

- Czego pan ode mnie chce? - Tekk jest nieco zaskoczony.

- Och, potrzebujemy twojej pomocy, Tekk, wybacz bezpośredniość - wyjaśnia Werner.

- Jakiej pomocy?

- Poznałeś już naszego niedźwiedzia polarnego i wiesz, że jest dla miasta bardzo cenny. Co więcej, widziałem, jak silna więź łączy cię z Knutem. Byłem w zoo tego dnia, kiedy go uspokoiłeś.

- Tak, znam Knuta - odpowiada Tekk trochę tajemniczo.

- Knut urodził się w naszym zoo, a jego matka zmarła wkrótce po porodzie. Jak na niedźwiedzia żyje dosyć samotnie. W przeciągu ostatnich kilku miesięcy coraz częściej się chowa i coraz mniej je. Bardzo martwimy się o jego zdrowie. Ponieważ jesteś z Grenlandii, ojczyzny niedźwiedzi polarnych, byłem ciekaw, czy możesz nam coś podpowiedzieć. Jeśli chcesz, możesz potowarzyszyć opiekunom niedźwiedzi, żeby zbliżyć się do Knuta i powiedzieć nam, co sądzisz o jego diecie i zachowaniu.

Ta prośba jest dla Tekka zupełnie niespodziewana. Brakuje mu słów i tylko kiwa żarliwie głową.

- Tekk uwielbia Knuta: jestem pewien, że bardzo się ucieszy z możliwości bliższego

Powiedziałem ludziom w Niemczech, że aput nazywamy śnieg, który leży na ziemi; qana to padający śnieg, a pigsipor to nagromadzony śnieg; mentlana jest różowy, a suletlana – zielony. I że klin to pamiętany śnieg, a naklin to zapomniany. Niemców to zaciekało, więc pytali, czym jest „pamiętany“ i „zapomniany“ śnieg. Powiedziałem, że nie da się spamiętać każdego śniegu, który się widziało. Pamięta się tylko jego część z całego życia. Na przykład śnieg przykrywający martwe ciało naszego ojca, motela, tego śniegu nigdy nie zapomnę

kontaktu – Hans, który słyszał całą rozmowę, odpowiada za Tekka.

Następnego dnia opiekun niedźwiedzi odbiera Tekka z hotelu. Po drodze do zoo dołączają do nich dwaj realizatorzy filmów dokumentalnych z kamerą i sprzętem nagrywającym. Chcą zrobić reality show o tym, jak Inuit tresuje niedźwiedzia; sądzą, że całe Niemcy bardzo chętnie go obejrzą. W zoo całą grupę przyjmują pełni entuzjazmu pracownicy. Przed wejściem w tylne drzwi prowadzące na wybieg Knuta Tekk klęka twarzą w stronę jaskini zwierzęcia i modli się bezgłośnie. Potem otrzepuje spodnie i mówi:

– Teraz możemy wejść.

Dozorcę ciekawi rytuał Tekka.

– Tekk – pyta – w co wierzysz?

Młody Nanuk w odpowiedzi recytuje stare inuickie powiedzenie:

– My nie wierzymy, my się lękamy.

– Lękacie się? – powtarza dozorca. – A co z Bogiem? Macie jakiegoś boga, tak jak my w Europie?

– Boga? Wszystko jest bogiem. Foka to bóg, mors to bóg, ryba to bóg i niedźwiedź polarny to też bóg.

– Czyli boicie się tych bogów? Mam na myśli to, że gdybyście w nich nie wierzyli, nie balibyście się ich...

– Wiara nie jest dla nas ważna, ale strach nas ochroni. Lękamy się natury – mówi Tekk.

Filmowcy nagrywają słowa Tekka. Wkrótce jego tajemnicza odpowiedź stanie się enigmą dla wszystkich berlińskich mediów. Wkrótce sympatyczny Nanuk stanie się gwiazdą, będzie równie słynny jak Knut. Jego portret pojawi się w Bild i Süddeutsche Zeitung obok zdjęcia niedźwiedzia wraz z nagłówkiem: „My nie wierzymy, my się lękamy“.

Tekk spędza dzień na wybiegu z Knutem i ekspertami, dzieli się z dozorcą nabytą od ojca wiedzą o niedźwiedziach polarnych.

– Wiesz, one świetnie pływają na duże odległości. Ale tutaj, w zoo, on nigdzie nie popłynie, i nie może się tak naprawdę poruszać.

Dozorca kiwa głową. Dobrze wie o tym problemie, ale nie sądzi, żeby mogli zmienić otoczenie Knuta.

9

– Nie możemy wypuścić Knuta na wolność, ponieważ urodził się w niewoli i zawsze mieszkał w zoo. Nie będzie nawet potrafił sam zdobyć jedzenia. Jeśli go wypuścimy, po prostu zginie – tłumaczy Tekkowi dozorca.

Tekk nie ma już nic więcej do powiedzenia. Przed opuszczeniem zoo sugeruje:

– Knut potrzebuje towarzysza, z którym mógłby mieszkać, kogoś takiego jak on.

– To prawda – odpowiada opiekun. – Postanowiliśmy zebrać 500,000 euro na drugiego niedźwiedzia polarnego: samicę z Norwegii, towarzyszkę dla Knuta, żeby miał rodzinę. Zgromadziliśmy już część pieniędzy i jesteśmy pewni, że zdobędziemy dosyć na panią Knut.

Ale tylko nasz młody Nanuk wie, że życie jego przyjaciela z za ogrodzenia ma się ku końcowi. Niedźwiedziowi brakuje tchu i przez ostatnie kilka dni nie zjadł nawet połowy tego, co powinien. Nie ma już sił i nie wychodzi nawet z jaskini, żeby pokazać się publiczności.

Następnego dnia Hans odwozi Tekka i jego pomarańczową walizkę na lotnisko; w terminalu setki ludzi zgromadziły się przed ekranami telewizyjnymi. Wszyscy oglądają relację na żywo z berlińskiego zoo. Knut nie żyje. Zmarł na tajemniczą chorobę

– podobno miał guza na sercu. Tekk i Hans stoją jak skamieniały przed ekranem wyświetlającym reportaż. Słyszą, że nagła śmierć Knuta wywołała międzynarodową żałobę. Tysiące fanów odwiedza zoo, zostawiają przy wybiegu kwiaty i pamiątki. W emitowanej przemowie burmistrz Berlina, pan Herzog, mówi: „Wszyscy tak bardzo za nim przepadaliliśmy. Był gwiazdą miasta. Ale będzie dalej żył w naszych sercach. Stworzymy pomnik dla następnych pokoleń, żeby upamiętnić to niezwykle zwierzę“. Według reporterów Knut być może zostanie wypchany i wystawiony w Muzeum Przyrodniczym. Sprawozdanie kończy się śpiewaną przez dzieci piosenką: „Knucie – marzycielu, kochamy cię“.

Siedząc samotnie w samolocie Tekk przygląda się chmurom płynącym za oknem. Widzi oczyma duszy sytuacje z kilku ostatnich dni, jakby oglądał film. Zасыpia, podczas gdy samolot zmierza na północ. We śnie wraca do wizji, którą miał tydzień wcześniej, w noc po przyjeździe do Niemiec. Pływa z młodym niedźwiedziem polarnym w lodowatym morzu. Niedźwiedź jednak jest tak świetnym pływakiem, że szybko zostawia Tekka daleko w tyle. Wkrótce widać już tylko jego niewielki łeb unoszący się na falach w oddali, a potem i on znika powoli; nie da się go już odróżnić od szarej powierzchni wody i zachmurzonego nieba. Tekk rozgląda się za nim uważnie, nie widzi jednak nic. Jest sam na otwartym oceanie. Potem nagle niebo na północy zaczyna się zmieniać. Światło i chmury tworzą uśmiech – uśmiechnięty łeb niedźwiedzia unosi się przed nim w słabnącej poświacie, a szare fale muska lśniąca biel.

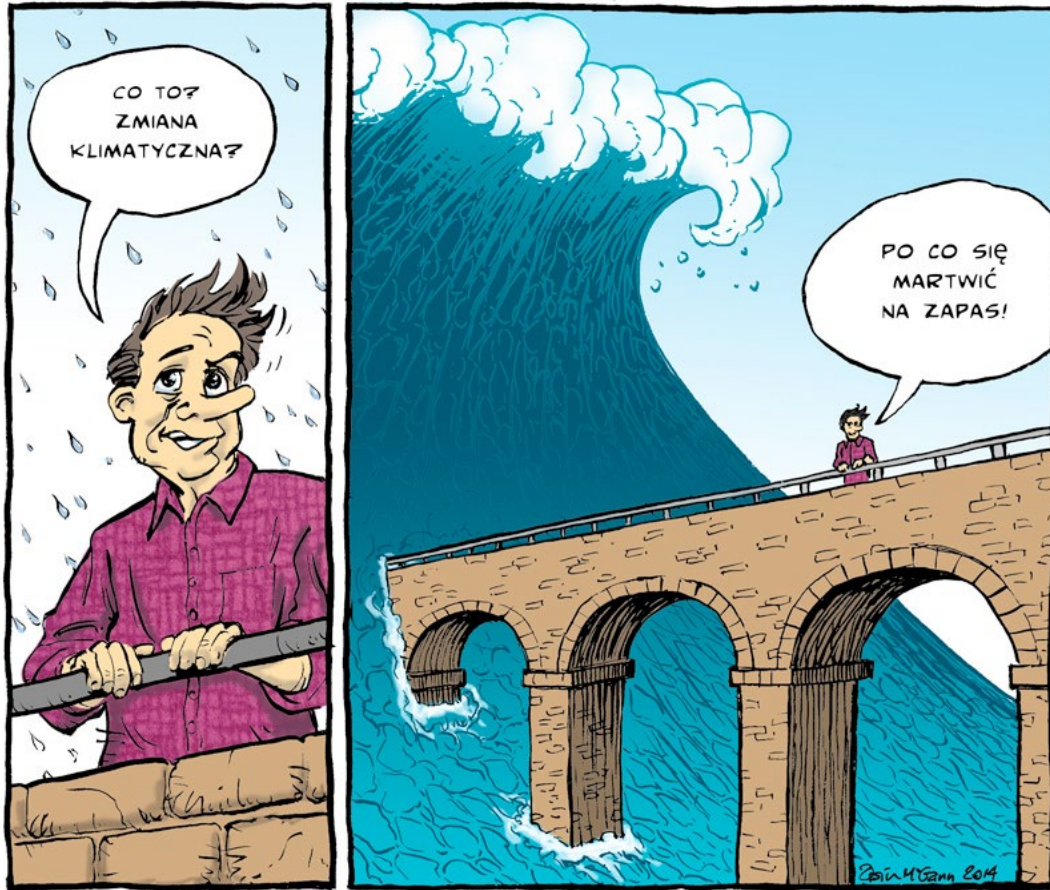
Epilog

Na wodzie unosi się wielka góra lodowa. Gdyby stać się ptakiem lub rybą i dostatecznie długo podążać za tą górą, trafiłoby się na Grenlandię. Można byłoby tam zobaczyć zamrożoną mewę na śniegu, albo szkielet wielkiego woła pizmowego na zboczu wzgórze. Można byłoby też napotkać tę inuicką rodzinę w niewielkim igloo. Nasza opowieść toczy się dalej w tym igloo.

To co teraz robią? Jak zdarza się każdej rodzinie, zgromadzili się dookoła, zajęci domowymi obowiązkami. Matka gotuje, jej trzej synowie karmią psy. Czasem pomagają matce w przygotowywaniu jedzenia. Ich ojciec zmarł dawno temu, na polowaniu, podczas burzy śnieżnej. Teraz najmłodszy syn, Bystry Tekk, opowiada krewnym o swojej niedawnej przygodzie:

– Powiedziałem ludziom w Niemczech, że aput nazywamy śnieg, który leży na ziemi; qana to padający śnieg, a pigsipor to nagromadzony śnieg; mentlana jest różowy, a suletlana – zielony. I że klin to pamiętany śnieg, a naklin to zapomniany. Niemców to zaciekawiło, więc pytali, czym jest „pamiętany“ i „zapomniany“ śnieg. Powiedziałem, że nie da się spamiętać każdego śniegu, który się widziało. Pamięta się tylko jego część z całego życia. Na przykład śnieg przykrywający martwe ciało naszego ojca, motela, tego śniegu nigdy nie zapomnę...

Przełożyła Marta Dziurosz



Oisín McGann

REFLEKSJE PISARZY

POTEM



Xiaolu Guo, Londyn

Mieszkająca w Londynie kanadyjska pisarka skrytykowała mnie za to, że pracuję nad projektem o zmianie klimatu, ale latam przy tym po całym świecie. Stwierdziła, że to niedopuszczalne, że to hipokryzja. W jej słowach było ziarno prawdy — ubodły mnie. Ale duch jej uwag nie wyraził całej prawdy na ten temat. Powiedzmy, że nie wzięłam udziału w tym projekcie. I tak zostawiłabym po sobie ogromny ślad węglowy (prawdopodobnie nawet większy niż w rzeczywistości) odwiedzając swoją rodzinę w Chinach i — wtedy, kiedy bilety są najtańsze — rodzinę mojego partnera w Australii. Nie próbuję się usprawiedliwić: próbuję omówić kluczowy problem naszej rzeczywistości.

Zmiana klimatu jest problemem osadzonym w strukturze ekonomicznej świata. Przepaść między ubogimi a bogatymi się zwiększa. Ja i owa kanadyjska pisarka należymy do tych, których stać na prowadzenie życia na skalę światową: podróżujemy samolotami, żeby odwiedzić rodzinę i latamy z miasta do miasta, aby pracować i wypoczywać. Tymczasem inni emigranci muszą wskoczyć na łódź, ryzykować życiem w kontenerze na statku i mieć nadzieję, że trafią do „lepszego“ kraju. Wielu z nich nie udaje się przeżyć podróży. W naszej epoce „życie jest gdzie indziej“, więc inni zawsze mają lepiej. Panujący na świecie system zachęca do takich aspiracji — nawet ubodzy dążą do wzbogacenia się i prowadzenia takiego trybu życia. To choroba naszej epoki. Jak brzmiało to skomplikowane słowo? Antropocen.

Może dla kanadyjskiej pisarki to nic wielkiego: Naomi Klein wyjaśnia jej wszystko od piętnastu lat. Ale ktoś taki jak ja bez uczestnictwa w Stacjach Pogody nigdy nie zobaczyłby, jak wiejskie irlandzkie społeczności walczą o zachowanie swoich zwyczajów w obliczu straszliwego postępu terenów miejskich i przemysłu. Projekt ten umożliwił mi pisanie o nich i opowiedzenie o nich innym. To samo odnosi się do mojego pojmowania faktu, że kwasowość i wzrastająca temperatura morza zabija Wielką Rafę Koralową. Kiedy zobaczyłam szare szkielety martwych koralów w oceanie, kiedy ich dotknęłam, musiałam o tym napisać. Dzięki tym okazjom do uczenia się i obserwowania świata uświadomiłam sobie, że tak naprawdę nie wiemy dostatecznie dużo o naszym

środowisku i tym, jak udaje się przeżyć różnym gatunkom. To ta ignorancja umożliwia ludzkiemu ego pochłaniać wszystko, co się jeszcze uchoowało na tej planecie. Kształcenie na temat kryzysu środowiska musi zacząć się w szkole podstawowej, kiedy dzieci są bardzo młode. Naprawdę uważam, że następne pokolenie jest naszą największą nadzieją. Więcej — naszą jedyną nadzieją. Jestem zatem wdzięczna, że organizacja taka jak Free Word Centre wybrała mnie do grona pisarzy pracujących nad tym projektem, choć wymagał on podróżowania samolotami. Prawie wszystko ma zarówno dobrą, jak i złą stronę. Wszystko zależy od tego, co zrobimy z naszym ludzkim doświadczeniem odnajdywania się w swojej dziedzinie. Dla mnie najtrudniejsze jest przekładanie języka nauki na język literatury, niezbędne przy pisaniu i publicznych wykładach. Mam zatem nadzieję, że ta zgorzkniała kanadyjska pisarka przeczyta moje relacje z podróży, o ile nie jest zbyt zajęta biadoleniem o Schyłku Natury. Trwający prawie dwa lata projekt Stacje Pogody ma się ku końcowi, ale ja mam wrażenie, że ledwie dotknęłam istoty problemu. Ta opowieść dopiero się zaczęła. Z pewnością nie znaleźliśmy się jeszcze u schyłku historii.

Przełożyła Marta Dziurosz

10 RZECZY, KTÓRYCH NAUCZYŁEM SIĘ WALCZĄC Z GLOBALNYM OCIEPLENIEM



Jaś Kapela, Warszawa

Nie sposób wymienić wszystkiego, czego się nauczyłem, co zrozumiałem i co mi dał projekt Stacje Pogody, ale spróbuję wybrać dziesięć najważniejszych rzeczy:

1. Przypomniałem sobie jak ważnym tematem jest globalne ocieplenie i dlaczego większość ludzi ma to gdzieś. Ale nie tam, gdzie powinni. Jednak mimo wszystko gdzieś w nich to siedzi i jakoś ich dotyka.
2. Nauczyłem się wszędzie zabierać ze sobą bidon, ale też, że przed wejściem do samolotu trzeba wypić jego zawartość. Ale zaraz można go napełnić z powrotem w łazience wodą z kranu.
3. Woda z kranu jest smaczna i zdrowa, a i tak większość ludzi woli płacić za kupowanie butelkowanej, która kosztuje 2000 razy drożej, a do tego zaśmieca planetę niewyobrażalną ilością plastiku. **Jest o tym ładny film.**
4. Plastik jest już na świecie tyle, że powstała **Wielka Pacyficzna Plama Śmieci**, o której jest powstał ładny film „**Plastic Paradise**“. Plastikiem żywią się albatrosy, **co można sobie obejrzeć na zdjęciach Chrisa Jordana z Midway** i w efekcie giną. Podobnie zresztą jak ryby. Populacja wielu gatunków ryb spadała w ostatnich czterdziestu latach o 90%. A jedzenie ryb, które jedzą plastik, może być przyczyną różnych chorób. Na przykład raka.
5. Fermy przemysłowe oglądane z satelity wyglądają piękniej niż obrazy Salvadora Dali. I są bardziej przerażające. Więc nic dziwnego, że artysta konceptualny Mishka Henner wystawia je w galeriach, **ale można też sobie je obejrzeć na jego stronie.**
6. Jedzenie mięsa zabija planetę. Przemysł mięsny odpowiada za 18% emisji gazów

cieplarnianych, czyli więcej niż transport. Na potrzeby paszy dla zwierząt wycina się las i sadi monokulturowe uprawy GMO, mocno zakrapiane pestycydami, co powoduje śmierć milionów owadów i ptaków. A konsumpcja mięsa wciąż wzrasta.

7. W ciągu ostatnich lat o 50% spadła populacja dziko żyjących zwierząt, za to wzrosła populacja zwierząt hodowanych w klatkach, które nigdy w swoim życiu nie widziały słońca, ani nie dotykały ziemi. Robimy zwierzętom takie małe Auschwitz, tylko na większą skalę. Oraz szprycujemy je antybiotykami, co sprawia, że niedługo przestaną one na nas działać.
8. Czasami trzeba polecieć samolotem, nawet jeśli jest to niezgodne z naszymi najgłębszymi przekonaniem. **Choć niektórzy uważają, że nie trzeba latać.** I ja się z nimi zgadzam.
9. Jestem fajny, mądry i inspirujący. Nawet na występach w Londynie i Berlinie. Choć muszę się w końcu porządnie nauczyć angielskiego. A może nie muszę? Skoro jest tylu świetnych tłumaczy. Może nie warto im odbierać pracy. Zresztą poezja czytana po polsku jest piękna. Więc może niech już zostanie po polsku.
10. Wszystko jest możliwe. I choć na razie nie wymyśliłem jak pisać o globalnym ociepleniu, żeby problem zrozumieli właściciele spółek zatruwających naszą planetę ani opłacani przez nich politycy, to może jeszcze wymyślę. Zresztą – z tego, co się orientuję — już go rozumieją. Ale wciąż nie wywieramy na nich wystarczającej presji, więc warto o tym pisać i to zmieniać.

ŻEBY NAM ZALEŻAŁO

— ● — ● — ● — ● —

Oisín McGann, Tallaght

Jeśli weźmie się pod uwagę, że wszyscy rozmawiają o pogodzie, że interesują się nią ludzie na całym świecie, łatwo byłoby założyć, że wszystkim nam zależy na klimacie. Co dziwne, wcale tak nie jest. Mówiąc szczerze, większość z nas w głębi duszy głównie najczęściej obchodzi.

Kiedy Tony i Tori zaproponowali mi rolę pisarza-rezydenta Stacji Pogody, uważałem się za człowieka dość solidnie zaznajomionego z tematem jak na kogoś, kto nie jest naukowcem. Byłem ciekaw pozostałych pisarzy i tego, jak będziemy od siebie odmienni, nie tylko pod względem dokonań literackich, ale też nastawienia wobec zmiany klimatu.

Jednak okazało się, że wiedza, którą posiadam, absolutnie nie wystarcza mi do pisania — albo rysowania — na temat być może największego wyzwania czekającego naszą cywilizację. Uznałem ów projekt za sposób na naprawienie tego, zbadanie niuansów problemu i, no cóż... dowiedzenie się, co się dzieje.

Przede wszystkim chciałem wiedzieć dlaczego — jako społeczeństwo — nie obchodzi nas to bardziej. To mnie fascynowało.

Część projektu stanowiły spotkania ze specjalistami. Podczas każdej rozmowy z kimś, kto wiedział o zmianie klimatu więcej niż ja, zadawałem pytanie: „Gdybym nie miał wiedzy ani odpowiedniej perspektywy, aby zrozumieć zagrożenie, jakim jest zmiana klimatu, dlaczego miałyby mnie ono obchodzić?”

Najlepszej odpowiedzi udzielił profesor John Sweeney z irlandzkiego uniwersytetu w Maynooth: „Oznacza mniej ziemi, mniej pożywienia, więcej konfliktów”.

Najczęściej jednak pytanie to spotykało się z reakcjami od konsternacji po niesmak, z wywracaniem oczami spowodowanym krótkowzrocznością istot ludzkich lub właściwym im egoizmem. Ludzie, którzy w pełni pojmowali zagrożenie, często przejawiali zniecierpliwienie — byli sfrustrowani, że kogokolwiek trzeba jeszcze przekonywać. Dawali do zrozumienia, że skoro świat nauki udostępnił nam już informacje i niezbitę fakty, dalsza motywacja nie powinna już być potrzebna.

Uświadomiłem sobie, że między ludźmi dobrze rozumiejącymi problem a tymi,

do których muszą dotrzeć, istnieje wielka, zasadnicza przepaść. Eksperci wierzą, że przedstawienie faktów wystarczy — a teraz do niewtajemniczonych należy zaangażowanie się. Niewtajemniczeni, którzy i bez tego mają mnóstwo na głowie, jeszcze nie usłyszeli argumentów, które przekonałyby ich do zainteresowania się tematem.

Rozpoznałem tę przepaść. Pisarz nieustannie napotyka ją między sobą a swoimi czytelnikami.

Uznałem, że właśnie o to chodzi w naszym projekcie — Tony i Tori na szczęście zgodzili się ze mną. Ludzie nie są racjonalni: jesteśmy emocjonalnymi istotami, które od czasu do czasu zachowują się racjonalnie. Dane dotyczące anomalii geograficznych nigdy nie sprawią, że ludzie zaczną myśleć inaczej o naszym wpływie na klimat. Te abstrakcyjne, teoretyczne pojęcia nie przekonają nas do tego, żeby zaczęło nam zależeć.

Empatia natomiast od zawsze stanowi jeden z najpotężniejszych czynników motywujących. Ten kluczowy element każdej opowieści jest też niezbędny przy tworzeniu postaci, ale również przy pracy z młodymi ludźmi, którzy żyją w chwili obecnej i w dającej się przewidzieć przyszłości. Moje warsztaty z uczniami skupiały się na tym, jak tworzymy empatię posługując się wyłącznie słowami, jak wywołujemy emocje. Chodziło o to, żeby znaleźć frapujące elementy życia codziennego i odnieść do bardziej dramatycznych pojęć na większą skalę, do bardziej abstrakcyjnych tematów.

Życie jest skomplikowane, stresujące i wymagające. Szukanie kolejnych powodów do zmartwienia nie jest naturalne. Powódź nas nie obchodzi, dopóki nie dosięgnie naszej ulicy. Susza nas nie obchodzi, dopóki nie zabraknie wody do spłukania toalety. Jeśli jednak uda się nam wyobrazić sobie, jak pogoda potrafi wpłynąć na naszą codzienność, zmiana klimatu może stać się czymś bardziej rzeczywistym. Nie chodzi o egoizm, ale o naszą wrodzoną potrzebę dystansu i empatii. Można symulować ją w fikcji czy poezji, ponieważ to dzięki nim nasze mózgi modelują doświadczenia życiowe — tak jak klimatolodzy modelują cykle pogodowe, tworząc w naszych umysłach wizję tego, czego jeszcze nie wiemy, albo próbując przewidzieć przyszłość.

Dokonuje się tego w dużej mierze przy pomocy emocji i doświadczeń, a nie faktów. Moim zdaniem zgłębienie tego zagadnienia było naszym celem i miarą, którym powinniśmy mierzyć powodzenie Stacji Pogody.

Przełożyła Marta Dziurosz

Czy to w Dublinie, Londynie, Melbourne, Poczdamie czy Sidney, w twarzach badaczy oceanów, chmur i klimatu, z którymi rozmawiałem, mogłem zauważyć to samo – zadziwienie, że rozmawiają z ludźmi, dla których język właściwie od samych podstaw znaczy coś innego.

BYĆ MOŻE OSTATNIA SZANSA NA WSPÓŁISTNIENIE W WIĘKSZEJ BLISKOŚCI WYWIAD Z SAMYM SOBĄ

— • • — • • — • • —

Mirko Bonn , Berlin

Pytajac si  własnego odbicia w lustrze — lustrze mowy — podliczam i wychodzi mi,  e ju  od ponad pi nastu miesi cy nale ysz do pi tki autor w pisz cych w projekcie Stacje Pogody. Czy twój sposob widzenia  wiata uległ w tym czasie zmianie? Mo e sam stał si  stacj  pogodow ?

Ka dego ranka, kiedy tylko wyjr  za okno, zwracam uwag  na pogod  — na niebo, chmury i drzewa. Drzewa, bo dzi ki nim mo emy dojrze  wiatr. Jeszcze p łtora roku temu doniesienia o tornadzie w Meklemburgii-Pomorzu Przednim byłyby dla mnie zadziwiaj ce, ale nie wpłyn łyby na moj  aktywno  i nie zwr ciłbym uwagi na to, co m wi burmistrz miasteczka B tzow — a było to co  bardzo podobnego do tego, co slyszalem w regionach Australii, gdzie ludzie ju  od dziesi cioleci nara eni s  ekstremalne zjawiska pogodowe.

W projekcie Stacje Pogody chodzi o uwra liwienie. Ale dla ciebie to wla ciwie nic nowego.

Zmiana klimatu doskonale pasuje do wsp łczesnego  wiata. Nikt nie przejmuje si  czym , czego nie da si  zrozumie  ani skonsumowa . Liczy si  tylko to, co jest u yteczne — i to najlepiej dla mnie. W mojej młodo ci, za Kohla, sprzeciwiali my si  — zm czeni, ale zadowoleni,  e jest si  przeciw czemu buntowa  — „społecze stwu jednorazowego u ytku“, ale ani przez chwil  nie podejrzewali my,  e pod zajac moralnie nieskaziteln   cie zk , gorliwie uczestniczymy w tworzeniu  wiata jednorazowego u ytku — tego, w kt rym teraz  yjemy. Oczywi cie uwra liwienie to zadanie dla pisz cych. Jednak pisz cy nigdy nie powinien da  si  zaprz c do cudzego wozu. Musi pozosta  wolnym koniem, je li trzeba — koniem kopalnianym, a najlepiej koniem i je dzcem naraz. Zmiana klimatu jest dla mnie tak e problemem j zykowym, poniewa  chodzi mi o sprawdzenie, czy da si  j  przedstawi  i opisa  w formie literackiej. Projekt zaprowadził mnie w takie przestrzenie j zykowe, kt rych sam nigdy bym nie odkrył. Siedzialem nad zatok  Chowder w Sidney z dwiema badaczkami oceanu, kt re opowiadały mi, jak to jest nurkowa  w lesie wodorost w.

W moich oczach jest on jak niezbędna do życia tkanka łączna, czymś, co łączy mnie i wszystkich – nasz dzisiejszy świat z przeszłym światem zmarłych i przyszłym światem nienarodzonych jeszcze wnuków. Język to jedyny świat równoległy, w którego istnienie wierzę. MIRKO BONNÉ, BERLIN

Czytam ile się da na temat politycznych i naukowych kwestii związanych ze zmianą klimatu. Rozmawiam o tym z jak największą liczbą osób. Włączyłem się w ten projekt jako pisarz i nauczyciel. A jednak coraz bardziej interesuje mnie nie tyle potęga języka, co jego ograniczenia. Planeta ziemska jest daleko potężniejsza niż wszelkie słowa czy opowieści, które ludzie jej przypisują. TONY BIRCH, MELBOURNE

Przerwijmy milczenie i zróbmy użytek ze słów w imię najważniejszych rzeczy! ANAS AHMADZAI, ARTS AND MEDIA SCHOOL, ISLINGTON, LONDYN

Czy pisarze mogą przyczynić się do wyjaśnienia, wobec jakich złożonych, wielorakich wyzwań staje współczesny świat w związku ze zmianą klimatu i jej skutkami? Czy zgodziłbyś się, że może o to chodzić?

W czasie trwania projektu uświadomiłem sobie — i bardzo mnie to zaskoczyło — że także i w tym przypadku wszystko zależy od jednostek. Mogłbym nawet powiedzieć, że zmiana klimatu nie jest problemem ludzkości, lecz dotyka każdego z osobna. Czy to w Dublinie, Londynie, Melbourne, Poczdamie czy Sidney, w twarzach badaczy oceanów, chmur i klimatu, z którymi rozmawiałem, mogłem zauważyć to samo — zadziwienie, że rozmawiają z ludźmi, dla których język właściwie od samych podstaw znaczy coś innego.

Pisarz, w dodatku poeta, może mieć problem z mówieniem o języku i pisaniu w sposób abstrakcyjny i przy użyciu podstawowych pojęć. Stacje Pogody jako ćwiczenie z samoograniczeń?

Nie należy porzucać kreatywnych wątpliwości tylko dlatego, że problem wydaje się bardzo naglący. Absurdem wydaje mi się postulowanie, aby wahania i wątpliwości, opisywane od stuleci przez poetyckie umysły, odłożyć na bok, bo chodzi o rzekomo jednowymiarowe konflikty, które jakoby jedynie język nauki jest w stanie wyrazić.

W wielu dyskusjach panelowych mówiłeś, że w centrum debaty wokół zmiany klimatu stoi według Ciebie konflikt, który jednak nie jest za taki uznawany, a nawet zostaje przemilczany.

Konflikt ten sięga bardzo głęboko i trudno go opisać słowami. Skutki zmiany klimatu postrzegam jako wypowiedzi Ziemi, która chciałaby postawić bariery swoim ludzkim mieszkańcom. To dialog, który wymknął się spod kontroli, pradawny konflikt, który tylko eskaluje. Człowiek przeciwko naturze — i, rzecz jasna, na odwrót. To stąd właśnie bierze się obawa wielu ludzi przed zajęciem się tym tematem. W każdym razie także i w tym sporze dla mnie liczy się przede wszystkim strona językowa.

Bo jesteś pisarzem, a nie matematykiem ani mówcą. Czy mógłbyś przybliżyć swoje stanowisko?

Staram się unikać wszelkiej teorii. John Keats powiedział, że każdy aksjomat filozoficzny musi zostać sprawdzony tętnem. A Günter Eich uważał, że pisanie oznacza postrzeganie świata jako języka. Wyrażenie dramatu zmiany klimatu — czy też może raczej: zaburzenia klimatu — to według mnie też problem dokładności. Nauka pretenduje do używania jak najprecyzyjniejszego języka. Natomiast dla mnie jako poety język to coś znacznie więcej niż tylko nośnik danych czy narzędzie do wyrażania znaczenia. Jest to medium zmysłowe, a więc też odczuwalne, mające swoją historię i opowieści. Język jest łącznikiem. A przy tym jest takim manipulującym monstrum! Kiedy tylko usłyszę albo przeczytam słowo „totalny“, na myśl nasuwa mi się zbrodnicza demagogia Goebbelsa. Użycie języka bardziej przypomina mi rzucanie zaklęć niż korzystanie z narzędzia. W moich oczach jest on jak niezbędna do życia tkanka łączna, czymś, co łączy mnie i wszystkich — nasz dzisiejszy świat z przeszłym światem zmarłych i przyszłym światem nienarodzonych jeszcze wnuków. Język to jedyny świat równoległy, w którego istnienie wierzę. Cudowna poezja dnia powszedniego, obecna w wielu tekstach współuczestnika projektu Stacje Pogody, Tony’ego Bircha z Melbourne, mówi właśnie o tym: co moje życie i życie mi współczesnych ma wspólnego z opowieściami dawnych ludzi, którzy umieli jeszcze czytać znaki ziemi i nie musieli ze strachu i niepewności wszystkiego wylewać betonem i mieć na miazgę?

Jakie doświadczenie w czasie udziału w projekcie Stacje Pogody uznałbyś za najistotniejsze dla siebie?

Najpiękniej było zawsze, kiedy ludzie zaczynali snuć opowieści. Pogoda dawniej i pogoda dziś. Pogoda, jaką opisywał mój dziadek, pogoda, kiedy byłam młodą

dziewczyną. Jeden z uczniów z Tallaght pod Dublinem opowiedział, jak w czasie ulewnych deszczów w Irlandii latem 2014 r. woda porwała dom jego dziadków. Poruszająca była wizyta w dolinie rzeki Yarry na południe od Melbourne, gdzie rozmawiałem z mieszkańcami o pożarach buszu, które spustoszyły ogromne połacie terenu. Ludzkie umiłowanie swojego sposobu życia i wiążących się z nim historii okazywało się często bardzo żywe w tych miejscach. Myślę, że także i to zawdzięczamy językowi, który stawia na nieostrość zamiast na dokładność. Dlatego sądzę, że zmiana klimatu oznacza szansę, być może ostatnią, na współistnienie w większej bliskości.

Przełożył Jakub Gluszak

WAGA SŁOWA



Tony Birch, Melbourne

Gdy zacząłem pracować nad Stacjami Pogody, najważniejsze dla mnie — podobnie jak dla pozostałych pisarzy biorących udział w tym projekcie — było pytanie: czy pisanie coś w ogóle znaczy? Albo może, by wyrazić to bardziej precyzyjnie, czy nasz udział w tym projekcie i słowa, które skomponujemy będą miały jakikolwiek wpływ na to, jak ludzie reagują na kwestie związane ze zmianą klimatu. Z zaskoczeniem stwierdziłem, że bardzo szybko przestałem zadawać sobie to pytanie i że zupełnie przestało mnie to obchodzić. Nie chodzi o to, że zubożyła mi samo pisanie. Podchodzę do pisania i czytania z ogromną powagą. Tak, pisanie to dla mnie ważna sprawa. Ale na ile może ono wpłynąć na kogoś innego, zmusić go do zastanowienia się, do zmiany, do działania? To pozostaje dla mnie niewiadomą. Zresztą spodziewać się czegoś takiego byłoby dowodem pewnego zadufania. Ten projekt bardzo się dla mnie zmienił, gdy zacząłem pracować z młodymi ludźmi z Footscray w Australii, z Berlina, Dublina, Londynu i Helu nad Bałtykiem. Każdy z poznanych tam dzieciaków przesunął mój punkt widzenia i głęboko odmienił sposób, w jaki postrzegam teraz samego siebie w kontekście przyszłych zmian klimatycznych.

Starsze pokolenia często krytykują współczesnych nastolatków. Mówimy, że są „próżniakami“, bo ich nic nie interesuje i są skupieni tylko na samych sobie. To prawda, lubią robić sobie „focie z ręki“ i spędzają więcej czasu zajęci swoimi telefonami niż czytaniem gazet. Ale są też młodzi, pełni energii i aż kipią od nowych pomysłów. I to nie oni postawili nas w sytuacji, w której się dziś znaleźliśmy. Jesteśmy to winni młodym ludziom. Musimy nie tylko wziąć odpowiedzialność za szkody, jakie wyrządzamy naszej planecie, musimy też dać im szansę się wypowiedzieć. Ich głos nauczy nas, co robić dalej. Nigdy nie zapomnę nastolatków, z którymi pracowałem. W kraju takim, jak Australia, gdzie trudno jest znaleźć naprawdę uczciwego polityka gotowego na poważnie stawić czoła zmianom klimatu, nadzieję widzę tylko w młodych ludziach. Dzieciaki, z którymi pracowałem, nie chodziły do bardzo dobrych szkół. Wiele z nich wywodzi się ze społeczności i rodzin, którym naprawdę się nie przelewa. W krajach takich, jak Irlandia, które światowy kryzys gospodarczy uderzył niczym ekonomiczne tsunami,

Jesteśmy to winni młodym ludziom. Musimy nie tylko wziąć odpowiedzialność za szkody, jakie wyrządzamy naszej planecie, musimy też dać im szansę się wypowiedzieć. Ich głos nauczy nas, co robić dalej.

wiele osób zostało zepchniętych na margines. A mimo to poznane przez mnie nastolatki z całego świata aż się skrzyły od gniewu i entuzjazmu. Wydaje mi się, że ten gniew jest częściowo słusznie wymierzony w tych, którzy żyli wcześniej, w pokolenie, do którego ja też się zaliczam, które zbyt długo siedziało i nie robiło nic albo prawie nic. A jednak entuzjazm tych dzieciaków nie jest pozbawiony zaufania — zaufania do rodziców, nauczycieli, nawet do pisarzy! Nie spisali nas na straty, chcą, byśmy działali razem z nimi. Młodzi ludzie, których miałem zaszczyt poznać w ciągu ostatniego roku, odcisnęli na mnie bardzo głębokie piętno. Postanowiłem, że, jako pisarz, badacz i nauczyciel muszę zrobić dużo więcej w kwestii zmiany klimatu. Mam szczęście. Od lipca tego roku rozpocznę pięcioletni projekt na temat Zmian Klimatycznych i Wiedzy Tradycyjnej w charakterze starszego pracownika naukowego na Uniwersytecie Wiktorii w Melbourne. Podziękowania za tę szansę należą się projektowi Stacji Pogody, Wheeler Centre w Melbourne oraz grupie nastolatków z całego świata.

Przełożyła Anna Blasiak

OPISAĆ ZMIANĘ KLIMATU – PODSTACJE

Poniżej zamieszczono wybór prac uczniów (w wieku 14-16 lat) z ośmiu szkół z pięciu krajów, które wzięły udział w programie „Podstacje“. Przez osiemnaście miesięcy współpracowali oni z naszymi Pisarzami Rezydentami przy tworzeniu wierszy, refleksji i opowiadań. Dla wielu z nich była to pierwsza przygoda z pisaniem.

Ziemia błaga o pomoc.
Skóra pali nas jak nigdy
a szczelin nie da się zapełnić –
skorupa ziemiska to nie szklanka.

WODY ZAWSZE ZA MAŁO



Rita Paz
Arts and Media School, Islington, Londyn

Ziemia błaga o pomoc.
Skóra pali nas jak nigdy
a szczelin nie da się zapęłnić -
skorupa ziemską to nie szklanka.
Krok w złą stronę i powierzchnia pęknie.
Kiełki nie rosną w takich ciemnościach.
Postępujemy tak, jakby na naszej planecie nie było zła czy dobra.
Ale czy jest rada na ruinę Ziemi?
Uratujemy się, czy nigdy nie pojmiemy problemu, aż
aż...
aż będzie za późno.
Czy jesteśmy tak inteligentni, jak się nam wydaje?
Czy mózgi mamy dość duże, by pojąć, że bez planety nie mamy co badać?
Czy zatem dalej szukać WODY w kosmosie, czy RATOWAĆ tę, którą MAMY?
POMYŚLCIE.
Przełożyła Marta Dziurosz

DAHAB, EGIPT

DZIEŃ NA RAFIE BLUE HOLE – Z RYBIEJ PERSPEKTYWY



Silke Müller
Romain-Rolland-School, Berlin

O poranku obudziła mnie torba plastikowa, która przykryła wejście do mojej rozpadliny. W tej małej szczelinie w rafie spędzam każdą noc. Jeszcze kilka tygodni temu mieszkałam w większej rozpadlinie, bardziej na północ, ale zniszczyli ją nurkowie. Wiele domów moich przyjaciół zostało zniszczonych przez butle z tlenem i płetwy. Ilość wolnych szczelin mieszkalnych zaczyna się z wolna kurczyć...

Ale wróćmy do tej torby plastikowej. Takie torby o poranku mogą oznaczać dwie rzeczy: silny pływ, który przynosi na naszą rafę plastik z innych części Morza Czerwonego, albo silny wiatr na powierzchni wody, który zgarnia do morza śmieci z ulic Dahab. Nie jest to najczystsze miasto. Podobno nie jest w nim aż tak źle, jak w innych miejscach, o których słyszałam, ale śmieci są tam wszędzie. Wiatr odgrywa tu wielką rolę w życiu ludzi. Kiedy jest wietrznie, rybacy nie mogą wypływać na pełne morze, bo fale są zbyt wysokie dla małych łodzi, nurkowie nie mogą się wybrać nurkować tam, gdzie chcą, bo przy wysokich falach ciężko się wsiada na łódź, zaś uliczni sprzedawcy muszą biegać, łapiąc swoje odfruwające towary. Tylko kitesurferzy na swoich łodziach cieszą się z silnego wiatru. Ale tu, na naszej rafie, nie ma ich zbyt wielu. Trzymają się raczej bliżej hoteli. Blue Hole — mój dom — leży około pół godziny drogi od Dahab i sąsiadują z nim z jednej strony góra Synaj, a z drugiej morze. Mimo że jest to najniebezpieczniejsze miejsce do nurkowania na świecie i z każdym rokiem rośnie ilość ofiar śmiertelnych, nurkujących jest tu bez liku. Nurkowie nie przeszkadzają mi zbyt, o ile trzymają się z dala od rafy i nie pozostawiają po sobie nic poza bańkami powietrza.

Jak już mówiłam, dzień jest bardzo wietrzny. Pod powierzchnią czuć, że woda jest zmacona. Wielu moich przyjaciół żywiących się planktonem uwielbia taką pogodę. Fale i prąd przynoszą pokarm bliżej rafy, więc jest więcej świeżego jedzenia. Ja żywię się koralami, a ponieważ one jedzą plankton, mnie też cieszy odrobina wiatru. Ale wiatr oznacza też więcej nurków na Blue Hole. Dostęp do rafy jest osłonięty od morza i łatwy niezależnie od pogody. To sprawia, że rafa jest jedynym dobrym miejscem do nurkowania przy takim wietrze. Najczęściej nurkowie zachowują odległość i tylko

przeplwają nad nami. Ale niektórzy z nich zahaczają o koralowce i w ten sposób je niszczą. Najgorsi są nurkowie z większą ilością butli, bo niszczą rafę butlami przyczepionymi do brzucha. Trójka moich przyjaciół straciła w ten sposób swój dom.

Około południa słońce zdecydowało się wyjść i wiatr zelżał nieco. Jednak skutki wietrznej nocy były wciąż widoczne: torby plastikowe, puste puszki i opakowania wirowały w wodzie. Słońce rzucało promyki na plastik unoszący się nad naszą rafą i można było odnaleźć trochę piękna w tym smutnym widoku. I choć odbity blask dodawał śmieciom uroku, wiedziałam, że tak naprawdę w plastiku nie kryje się nic magicznego. Pewnie w ciągu następnych tygodni plastik zabije któregoś z moich przyjaciół.

Po krótkiej, pełnej słońca przerwie wiatr znów zaczął hulać po morzu. Około piętnastej pojawiła się drużyna Reef Checkers. To grupa nurków, którzy co roku wracają na naszą rafę, żeby badać jej kondycję. Rozwieszają nad rafą sznur i opisują wszystko, co znajduje się do określonej odległości od niego: ilość i gatunki ryb, bezkręgowców, stan podłoża, ilość zniszczonych koralii itd. Ponoć zebrane tutaj dane pomagają ludziom lepiej zrozumieć rafy świata. Ludzie chcą wiedzieć, jak przez lata zmienia się rafa i znaleźć przyczyny problemów. Nie sądzę, żeby długo trzeba było szukać odpowiedzi. Naszym przekleństwem i przyczyną wszystkich naszych problemów są ludzie. Radzimy sobie ze sztormami, potopami i atakami koron cierniowych. Trudniej nam odzyskać siły nadwątlone przez nurków, którzy płetwami mącą piasek. Ten osadza się na koralach i dusi je. I jeszcze zostaje plastik, któremu potrzeba lat, żeby się rozłożyć. Plastik nie znika sam, w magiczny sposób. Wciąż jest go pełno. Tylko że nie widać go już gołym okiem. Moja przyjaciółka żółwica opowiadała mi o Wielkiej Pacyficznej Plamie Śmieci. To ogromny obszar wypełniony ludzkimi śmieciami. Wiele sióstr i braci mojej przyjaciółki straciło życie, próbując umknąć plastikowej dżungli.

Mimo wszystko szanuję wysiłki drużyny Reef Checkers. Dzięki nim wiemy, że przynajmniej niektórzy ludzie przejmują się naszą sytuacją i chcą nam pomóc. Dziś zostaną wynagrodzeni widokiem młodego rekina wielorybiego. Przybył tu, żeby się najeść do syta planktonem naniesionym przez wiatr. Widzę poruszenie i radość wśród nurków i uśmiecham się do siebie. Gdyby tylko wiedzieli, jakie jeszcze rzadkie zwierzęta skrywa ta rafa.

Pozostała część dnia upływa spokojnie. Nie niepokoją mnie już nurkujący ludzie. Martwi mnie tylko murena falista kilka koralii dalej, która od dłuższego czasu bacznie mi się przygląda. Wracam do mojej szczeliny z myślą, że mimo plastiku to był dobry dzień na mojej rafie.

Przełożyła Jolanta Kossakowska

KIEDY BYŁAM WTEDY



Madeleine Jolliffe
Arts and Media School, Islington, Londyn

Słońce padało na skryształizowaną trawę,
powietrze, choć jasne, było mroźne.

Wiatr wślizgnął się przez drzwi ogrodowe i oziębił nasze ciała, jakbyśmy zanurzyli
się w zimie.

Trawa chrzęściła jak jesienne liście. Nasze piżamy zamarły na kość, a nagie stopy
były zimne jak serce wiedźmy.

Zdrętwiały, kiedy przemknęliśmy po trawniku.

Szybko zrozumieliśmy, że skakanie na trampolinie w temperaturze jak na biegunie
nie jest najlepszym pomysłem

Przełożyła Marta Dziurosz



Przed sobą mam rzekę, jej powierzchnia
lśni mocno w promieniach palącego
słońca. Szare skały naznaczone głęboką
zielenią alg ciągną się po obu stronach,
oddzielając ziemię od wody.

WIDOK NA RZEKĘ



Eliza Lucid
Footscray City College, Melbourne

Idę mostem, moje stopy łomczą na drewnianych deskach. Słaby wietrzyk wichrzy mi włosy i zawiewa je w twarz. Zatrzymuję się na środku, zaciskam ręce na czerwonej barierce i wbijam wzrok w roztaczający się przede mną krajobraz, chłonąc jego szczegóły. Przed sobą mam rzekę, jej powierzchnia lśni mocno w promieniach palącego słońca. Szare skały naznaczone głęboką zielenią alg ciągną się po obu stronach, oddzielając ziemię od wody. Bujna, zielona trawa faluje na wietrze, ciemniejsza tam, gdzie padają na nią cienie ogromnych drzew wznoszących się ponad tym terenem. Wróble, sroki, kakadu i lorysy górskie wylatują z zieleni i ponownie się w niej chowają, zaburzając ciszę rabanem chóralnego, ptasiego śpiewu. W oddali szczeka pies, a zaraz potem wietrzyk niesie pisk dziecięcego śmiechu. Nagle słyszę, jak ktoś mnie woła i mówi, że już pora iść. Odwracam się wolno i idę dalej mostem, myśląc o rzece. O rzece, nad którą dorastałam. Rzece, nad którą mieszkam od zawsze. Rzece tak pełnej życia... Mam nadzieję, że to się nigdy nie zmieni.

Przełożyła Anna Blasiak

GLOBALNE OSTRZEŻENIE — SLAM PODSTACJI



Aneta Michniewicz, Damian Trendel
Zespół Szkół Ogólnokształcących
im. Obrońców Helu

Globalne ocieplenie, globalne ocieplenie
Gorsze niż palenie
Spalamy węgiel, spalamy ropę
Nie lataj samolotem — niszczysz nam Europę

Globalne ocieplenie, globalne ocieplenie
Co wkrótce z nami zrobisz
Tego jeszcze nikt nie wie.
Ogrzewanie oceanów —
Czas zacząć pić wodę z kranu

Zacznijmy współpracować to być może
Uda nam się ziemię uratować
Zakładajmy filtry na kominy
Nakłaniajmy do tego całe gminy

Recykling dobra sprawa
To również naprawa!

WSPOMNIENIE



Bella Amodeo
Arts and Media School, Islington, Londyn

Morze było dla mnie kiedyś piękne i miało przyjemną atmosferę, ale teraz, kiedy wszystko się zmienia, morze też zmienia się w niebezpieczną broń, która odbiera życie, zamiast je tworzyć...

Podeszłam do mojego odkrycia
przy szumie jasnoblękitnych fal
omywających gorący, złoty piasek.
Coraz bliżej wody czułam,
że rozpalona ziemia się ochładza
i stanęłam, czekając, aż przejrzysta woda połaskocze moje palce.
Pałące słońce grzało mnie w plecy,
aż poczerwieniałam jak burak.
Delikatny ocean muskał mnie,
moja skóra pokryła się gęsią skórką,
a cofanie się fal wciągało mnie dalej.
Poszłam ich śladem, rzuciłam się w ten głębszy świat,
moje ciało, zszokowane nowym doznaniem, ruszało się szybko.
Pozwoliłam temu uczuciu mnie ogarnąć, żeby
zbadać to nowe, magiczne miejsce, do którego trafiłam.
Przełożyła Marta Dziurosz

Słońce chce mi coś powiedzieć
teraz, gdy o nim myślę.

PÓŹNE LETNIE POPOŁUDNIE



Lukas Hoffman
Sophie-Scholl-Schule, Berlin

Spojrzałem w górę.
Ocean, który nazywamy niebiem, jest czysty.
Pałace światła słońca rani moje oczy.
Instynktownie odwracam głowę.
Widzę poświatę odbijającą się po drugiej stronie wielkiego
lustera.
Mój umysł mówi mi, że to dobry dzień,
choć to był chłodny dzień.
Słońce chce mi coś powiedzieć
teraz, gdy o nim myślę.
Ale nie podoba mu się to, co sobie pomyślałem,
więc odchodzi, a jego miejsce zajmuje czerwono-pomarańczowa chmura.
Piękny błękitny ocean zmienił się w ciemną nieprzejrzystą płachtę.
Wszystko stało się w ciągu kilku minut.
Przełożyła Jolanta Kossakowska

KLASA



Manuel Plonsky
Romain-Rolland-School, Berlin

Wjeżdżając na szkolne podwórze cieszyłem się z pięknej pogody. Zapinałem rower i nie mogłem się już doczekać lekcji angielskiego. Dziś piątek. Mogłem pospać dłużej, bo odwołano nam dwie pierwsze lekcje. Przede mną cztery godziny lekcyjne i wspaniały weekend. Witam się z kolegami przy wejściu do szkoły i pogrążony w myślach, co też będę porabiał w ten weekend, wchodzę do klasy. Wtem zdaję sobie sprawę, że jest jakoś inaczej. Pachnie dziwnie, prawie jak w lesie. Rozglądam się wokoło i już wiem, dlaczego. Wszędzie są rośliny, pną się po ścianach, na podłodze korzenie, gdzieś mech, ptak wlatuje przez wybite okno. Nie wierząc własnym oczom robię krok naprzód i słyszę trzask. Stałem na linijkę, którą zostawiłem wczoraj w klasie. Schyliłem się, żeby ją podnieść i z poruszeniem przyglądałem się jej pęknięciu.

Mój mózg zaczyna myśleć racjonalnie, więc mówię sobie, że musi być jakieś logiczne wytłumaczenie całej tej sytuacji. To nie sen, więc wychodzę z sali i z niedowierzaniem zauważam, że zatłoczony jeszcze przed chwilą korytarz jest pusty i wygląda tak samo jak klasa, z której wyszedłem. Jakby od dawna nie stanęła tam ludzka stopa. Już wiem! To żart! Nie taki zwyczajny, tylko profesjonalnie przygotowany. Szukam wzrokiem kamer, ale żadnej nie znajduję. „Dziwne“ — mówię sam do siebie, słysząc dobiegający gdzieś z kąta hałas przypominający śpiew. Zbliża się. Nie wiem, czego się spodziewać, więc chowam się we wnęce w ścianie, czekając, co się wydarzy. Źródło hałasu przybliżyło się. W końcu moim oczom ukazuje się starszy mężczyzna, na oko sześćdziesięcioletni, z brodą jak u świętego Mikołaja i krótkimi siwymi włosami. Stwierdzam, że nic mi nie grozi, więc wychodzę z wnęki. Mężczyzna odwraca się powoli w moją stronę i zaskoczony taksuje mnie wzrokiem od stóp do głów. „Dziś nie ma lekcji, stary“ — mówi do mnie i odwraca się z tak głośnym śmiechem, jakby nie miał okazji tak się uśmieć od bardzo dawna.

Zdaję sobie sprawę, że to może być dla mnie jedyna szansa, żeby dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi. Biegę więc za nim i pytam go: „Dlaczego? Co tu się dzieje? Gdzie są wszyscy?“. A on, nie zatrzymując się, odpowiada: „Nie wiem, gdzie są wszyscy. Ale wiem, że w tym budynku od 25 lat nie było żadnego ucznia“. Po chwili dodaje: „Z

wyjątkiem siebie“.

Tłumaczę mu: „To niemożliwe. Byłem tu wczoraj“.

Mężczyzna odwraca się nagle, spogląda na mnie i mówi: „Chwila. Pamiętam cię. Jesteś tym chłopcem, który zginął 35 lat temu“.

Przełożyła Jolanta Kossakowska



MARTIN LUTHER KING, JR: „NASZE ŻYCIE ZACZYNA ZMIERZAĆ KU KOŃCOWI W DNIU, W KTÓRYM PRZESTAJEMY MÓWIĆ O WAŻNYCH RZECZACH“.



Anas Ahmadzai
Arts and Media School, Islington, Londyn

(„Bądźmy świadomi zmiany klimatu, ponieważ dzieje się naprawdę!“)

Nie powinniśmy się bać, że nie podamy czekającemu nas zadaniu. Strach przed porażką nie powinien być pretekstem do ignorowania problemu, jakim jest zmiana klimatu. Musimy podjąć się tego zadania i poprawić sytuację, dopóki jeszcze cokolwiek od nas zależy. Dlatego właśnie sędzę, że musimy uświadomić przywódcom i ludziom z całego świata, że zmiany należy wprowadzić jak najszybciej, zanim poziom mórz wzrośnie jeszcze bardziej, zanim kolejne gatunki wyginą z powodu klęsk żywiołowych, zanim spłonie busz, zanim w ciągu kolejnego półwiecza, a nawet wcześniej, nastąpią katastrofalne susze i powodzie, i przed niezliczonymi innymi tragediami, które nam grożą!

Przerwijmy milczenie i zróbmy użytek ze słów w imię najważniejszych rzeczy!

Przełożyła Marta Dziurosz

Ziemia jest w takim stanie, że żyć na niej niełatwo,
Nie kombinuj więcej, hej, weź wyłącz światło
Lodowce stopnieją, poziom morza wzrośnie,
przyszłość ludzkości wygląda żałośnie,
Żaden rząd ci tego nie przedstawi radośnie,
Przyjrzyjmy się liczbom i pomyślmy prościej

RAP RAMANA



Raman Sing
Firhouse Community College, Tallaght

Ziemia jest w takim stanie, że żyć na niej niełatwo,
Nie kombinuj więcej, hej, weź wyłącz światło
Lodowce stopnieją, poziom morza wzrośnie, przyszłość ludzkości wygląda żałośnie,
Żaden rząd ci tego nie przedstawi radośnie,
Przyjrzyjmy się liczbom i pomyślmy prościej,
Zmień styl myślenia by uniknąć podtopienia,

Obniż swe emisje patrząc na tradycje...wybierz transport publiczny albo spacer symboliczny,
Ziemia więcej nie zniesie, jeśli ludzie będą dalej w stresie i uporu bezkresie,

Słuchajcie ludzie, to na dzisiaj sprawa,
Za recykling i oszczędność należą się brawa!
Przełożyła Marta Dziurosz

DESZCZ



Alisa Seddon
Firhouse Community College, Tallaght

Kiedy zaczął padać deszcz, wszystkie małe dzieci wyszły się bawić. Tak, wiem, że to pewnie brzmi jak początek bajki, i wiercie mi, mniej więcej tak to wyglądało: chłopcy i dziewczynki w kolorowych pelerynach i kaloszach pluskający się z chichotem w kałużach.

Ale to nie bajka.

Potem wyczułam w powietrzu, że coś jest nie tak. Chmury całkowicie pokryły popołudniowe niebo i opadła dziwna, gęsta mgła. Jak na tę porę roku było też nadzwyczaj ciepło, co oczywiście tylko uprzyjemniało dzieciom zabawę w deszczu. Ale też kto mógł mieć im za złe, biorąc pod uwagę straszliwą suszę ubiegłego lata. Cieszyliśmy się z deszczu.

Alejka była usiana czerwonymi i złotymi liśćmi, a jesień ustępowała miejsca zimie. Oznaczało to, że wioskę otaczały nagie drzewa, co nadawało jej nieco upiorną atmosferę.

Wzdłuż krętych alejek utworzyły się już wielkie kałuże, z których woda zalewała większość odpływów i ścieków. Grunt stał się podmokły. Upłynęły ledwie dwie godziny.

Wiem, co myślicie. Myślicie: „I co z tego? To tylko trochę deszczu“. No tak, tylko trochę deszczu.

Był tylko jeden problem: deszcz nie ustawał.

Minęły dwie godziny, potem trzy. Nadsięgnęła noc, a dzieci, które wciąż jeszcze były na zewnątrz, wróciły do domów się wysuszyć.

Wciąż padało.

Następnego dnia niebo dalej było zasnuwane ciężkimi chmurami, i następnego też. Minęły dwa, a potem trzy dni. Kałuże zmieniły się w wielkie sadzawki, a strumienie - w rzeki.

Wciąż padało.

Szkoły zamknięto, drogi były zablokowane i zabrakło prądu. Każdej nocy widzieliśmy błyskawice, po których momentalnie rozlegały się grzmoty, co uświadamiało nam, jak blisko jest burza.

Nie sędzę, żeby tej nocy komuś udało się zasnąć. Wiem na pewno, że mnie nie.

Tata powiedział, że powinniśmy wyjechać, zanim dach zacznie przeciekać, ale ponieważ drogi były zamknięte, a transport publiczny nie działał, wiedzieliśmy, że nie miałyby to sensu.

Wcześniej nie znosiłam mieszkania tak wysoko na górskim zbocz. Droga do szkoły zajmowała mnóstwo czasu, a najbliższy sklep był trzy mile dalej.

Ale po miesiącu nieustającego deszczu zaczęłam się z tego cieszyć.

Z naszego domu mieliśmy widok na całą dolinę. Każdego lata widać kwiaty rosnące nad strumieniem, który biegnie środkiem tej pięknej krainy. Kiedyś żalowałam, że nie mieszkam bliżej kwiatów.

Teraz nie żałuję.

Dolina była całkowicie zalana wodą. Wszystkie domy zatoneły. Kwiatów nie było. Strumień wyglądał bardziej jak kanał.

Nie wiem, co stało się z ludźmi, którzy mieszkali w dolinie. Może jakoś uciekli. Może.

Wtorek, 24 grudnia. 11.25.

Dzień, kiedy deszcz w końcu ustał. Powietrze się nagle uspokoiło i w końcu ją usłyszeliśmy: ciszę.

Powoli otworzyłam drzwi i zobaczyłam, że kilka osób już wyszło przyjrzeć się szkodom. Drzewa były wyrwane z korzeniami, budynki się zapadły, a piękna dolina, którą kiedyś porastały kolorowe kwiaty, była ukryta pod co najmniej dziesięcioma metrami wody.

Tym, którzy przeżyli, odjęło mowę.

Nie domyślilibyście się, że jest Wigilia.

Uprzedzałam, że to nie będzie bajka.

Przełożyła Marta Dziurosz



GLOBALNE OSTRZEŻENIE – SLAM PODSTACJI



Jakub Witkowski, Emilia Kurpet,
Michał Firla, Kinga Łuczowska
Zespół Szkół Ogólnokształcących
im. Obrońców Helu

Globalne ocieplenie, globalne ocieplenie
Gorsze niż palenie
Spalamy węgiel, spalamy ropę
Nie lataj samolotem — niszczysz nam Europę

Nie chcemy już więcej dwutlenku węgla
Gorączka na Ziemi jest już wielka
Burze, susze i powodzie —
Umierają ryby w wodzie.

Sadźmy rośliny, zamykajmy fabryki
Jest to tak dobre, jak słuchanie muzyki.

Butelki plastikowe i metan od krowy
Niszczy nasz gatunek narodowy.

UWIERZ



Maxine Huntsman
Footscray City College, Melbourne

Wspaniałe, łukowate sklepienia
Okna strzaskane i popękane
Tysiące odcieni światła
Padającego na rzędy drewnianych siedzeń
Tak pięknych w swojej wygodzie

Wszyscy tu są tacy sami
Stajesz w drzwiach
I już nic więcej się nie liczy
Łączy nas ten sam cel

Nie wierzę w Boga
Ani w życie po śmierci
Ale świece
- Sto życzeń
Stopnionych w jedno —
Dają jednak do myślenia

Cisza odbija się echem
I wypełnia każdy kąt spokojem
Tysiące modlitw
Unosi się w powietrzu w ciszy
Niektóre chcą uratować
Inne czekają ratunku
Ale wszystkie kończą tutaj

Nie wierzę w Boga
Ani w życie po śmierci
Ale wierzę w coś
Co jednoczy świat
Przełożyła Anna Blasiak

WODA I KRYKIET PO PROSTU NIE DAJĄ SIĘ POGODZIĆ



Elijah Andrews-Quinn
Footscray City College, Melbourne

– Hej, Tom – idź po piłkę zawołał Jack.

Tom pobiegł niechętnie za oddalającą się piłką i grali dalej w krykieta w swoim rodzinnym mieście Renmark. Jack się rozpędza i rzuca mocno piłkę prosto w stronę bramki, ale Tom się zamachuje, uderza i posyła piłkę do rzeki. Obaj chłopcy są niezadowoleni i żalują, że rzeka w ogóle tam jest. Na szczęście bez większego trudu zdobyli kolejną piłkę. Później Tom mówi do Jacka, że „woda i krykieta nie idą w parze“, z czym Jack się nieufnie zgadza.

Chłopcy robią sobie przerwę i idą do baru mlecznego na placek z mięsem i mleko smakowe. Siadają nad rzeką, zajęci przyglądaniem się, jak ich piłka unosi się na falach i jedzeniem swoim placków. Później zaczynają znowu grać i jeden po drugim dołącza do nich praktycznie cała ich klasa. Rywalizacja o kij robi się bardziej zacięta i znalezienie luk na boisku jest prawie niemożliwe. Pojawia się coraz więcej nowych zasad, dzięki którym mecz może toczyć się dalej. Gra trwa, aż wszystkich zawołano na kolację. Zresztą jest już tak ciemno, że nie da się dalej dać.

Następnego dnia w szkole Tom z Jackiem organizują na wieczór wielki mecz krykieta na lokalnym boisku. „DRRRRRYŃŃŃŃ“ dzwoni szkolny dzwonek i wszyscy biegną prosto do domu po swoje ulubione kije. O czwartej około 20 chłopców stawia się na miejscu, by zagrać mecz, a Tomowi udaje się nawet zwerbować Sędziego (Swojego młodszego brata). Po zażartej dyskusji skład drużyn zostaje ustalony długo to trwało, ale w końcu mamy drużyny 2 kapitanów, Toma i Jacka.

Rozpoczyna się mecz i drużyna Jacka rzuca jako pierwsza. Drużyna Toma nieźle zaczyna, ale potem radzi sobie gorzej i kończy z 56 z 10 overów, co nie jest takim złym wynikiem. Drużyna Jacka zaczyna odbijając i na początku gra koszmarnie: 8/15 w 5 overach. Jack staje na kresce rzutu i nieźle gra z Maxem teraz potrzebne im jeszcze tylko 6 z ostatniego overa. Max ustawia się do uderzenia, ale nie trafia w pierwsze 4 piłki wszyscy robią się nerwowi. Max w końcu trafia i zdobywają runa Tom zbiera piłkę i eliminuje odbijającego, gdy Max jest poza kreską rzutu. Została jeszcze jedna piłka i teraz uderza Jack. Nadal muszą zdobyć sześć punktów, żeby wygrać. Rzucający się ustawia i rzuca z całych sił Jack ustawia się i wygląda na to, że zdobędzie tę szóstkę, ale ktoś łapie piłkę. Z powodu niejasnej linii granicznej trudno powiedzieć, czy złapał ją poza linią. Wszyscy pytają sędziego, który mówi tylko:

– Co się stało?

Po długiej Klótni mecz zostaje zakończony remisem. Następnego dnia w szkole ludzie z obu drużyn uznają go za najlepszy mecz.

30 lat później

– Jesteśmy na miejscu? – zapytał James.

– Prawie – odpowiedział Tom, gdy po długiej podróży autostradą dojeżdżali do Melbourne.

– Jesteśmy na miejscu? – zapytał Mitch.

– Prawie – odpowiedział Jack, gdy zjechali z autostrady. Zmierzali w to samo miejsce, co Tom i James.

Dwa samochody zatrzymały się przed samą przeprawą przez rzekę.

– Hej, Tom – zawołał Jack.

Tom rozgląda się dookoła i natychmiast wyskakuje z auta, żeby się przywitać z Jackiem. Chłopcy, James i Mitch, również wysiadają.

– Już się nie mogę doczekać krykieta – mówi James.

– No, tak, mój tato mówi, że to najlepsze boisko – odpowiedział Mitch.

Chłopcy idą rozejrzeć się dookoła.

– Cieszę się, że tu znowu jestem – mówi Tom.

– Prawda. Rzeka wydaje się szersza, niż zapamiętałem – odpowiada Jack.

– Zgadza się – potwierdza Tom. – Pamiętam, że przerywała brzegi, ale nie wydawało mi się to wtedy istotne.

– Co to jest Zatoka Murraya? – woła Mitch.

– Co? Zatoka Murraya? – odkrzykują Tom z Jackiem.

– No, tak – odpowiadają obaj chłopcy.

Tom z Jackiem podchodzą bliżej i widzą dużą, urzędową, ale wyglądającą na tymczasową tablicę z napisem „Zatoka Murraya“. Spoglądają po sobie z dezorientacją. Jadące w przeciwnym kierunku auta mrugają do nich światłami, jakby chciały im o czymś powiedzieć. Przejeżdżają obok identycznej tablicy, jak ta nad rzeką, ze słowami „Zatoka Murraya“. Są też tablice ostrzegające, że droga zaraz się skończy. Nie uwierzyli w to, aż dojechali do opuszczonego szlabanu. Zatrzymali samochody, wyskoczyli na zewnątrz i znowu zobaczyli tablicę z napisem „Zatoka Murraya“.

Podchodzi do nich ktoś w urzędowym mundurze i pyta, czy nic im się nie stało. Odpowiadają, że nie, ale pytają dlaczego droga jest zamknięta. Pyta, czy nic nie słyszeli. Tom odpowiada krótko:

– Nie.

Mężczyzna odpowiada, była tu wielka powódź. Wczoraj w nocy obudziła nas woda i nagle cała okolica została zalana. Jeszcze nie wiemy, dlaczego to się stało ani jak wielki obszar znalazł się pod wodą. Na ten moment zamykamy tylko cały ten teren, więc niestety będziecie musieli zawrócić.

Zawracają i wynajmują pokój na noc. Później tego samego wieczora dowiadują się z wiadomości, że TOPNIEJE POLARNA CZAPA LODOWA. Potem pojawia się mapa.

– To, co w pierwszym momencie uznano za nagłą powódź, okazało się topnieniem polarnej czapy lodowej. Wywołało to podniesienie poziomu mórz na wielką skalę. Woda zalała sporą część Australii, w tym miasta takie jak Renmark oraz port Adelaide. Nowe australijskie morza nazwano „Zatoką Murraya“ i „Morzem Artyzycznym“. To tyle na ten moment, bardziej szczegółowa relacja zostanie nadana później.

Wszyscy w pokoju są w szoku i rozglądają się dookoła bez słowa. Tom mówi jeszcze raz, że woda i krykieta nie idą w parze, z czym zgadza się znużony Jack.

Przełożyła Anna Blasiak

GLOBALNE OSTRZEŻENIE – SLAM PODSTACJI



Weronika Bokota, Marcin Pieszak,
Ewelina Kurpet, Ola Górską
Zespół Szkół Ogólnokształcących
im. Obrońców Helu

Globalne ocieplenie, globalne ocieplenie
Gorsze niż palenie
Spalamy węgiel, spalamy ropę
Nie lataj samolotem – niszczysz nam Europę

Lepiej iść się przejść,
Niż krowie mięso w domu jeść.
Lepiej przejechać się rowerem
Niż papierosem zanieczyszczać nam atmosferę
Ona jest nam bardzo potrzebna,
Dzięki niej nasza natura jest podniebna

Dziura ozonowa jest zła
Jak ziejąca metanem krowa
Bo metan jest naszym wrogiem.
Można go porównać z najgorszym nałogiem.
Naszą wodę trzeba ratować,
A nie w plastikowe butelki pakować.



SINGAPUR, SINGAPUR



Kim Burkart
Romain-Rolland-School, Berlin

Wstaliśmy i spojrzeliśmy w błękitne niebo.

Wyszliśmy na zewnątrz i rozkoszowaliśmy się upałem na skórze.

Byliśmy wdzięczni za każdą białą chmurkę, która rzucała trochę cienia. Robiło się coraz później i ciemniej. Po kilku godzinach jasny błękit ustąpił ciemnej szarości. Czuliśmy, jak robi się coraz bardziej ponuro i wilgotno. Wielka ulewa, raczej krótka, próbowała ostudzić powietrze. Daremnie. Na horyzoncie widzieliśmy jaskrawe odblaski błyskawic, słyszeliśmy następujące po nich grzmoty. Gwałtowna burza wywołała trochę poruszenia w spokojnej okolicy, ale po pół godzinie odeszła. Wieczorem już tylko miła, ciepła bryza poruszała liśćmi palm i strącała z nich ostatnie krople wody.

Przełożyła Jolanta Kossakowska



ZBIERANIE ŻYWNOŚCI



Luca Cernaz
Footscray City College, Melbourne

Kręciliśmy się bez planu po Footscray. Zatrzymaliśmy się i Patrick oświetlił jadalne rośliny. Leżały otrute koło nas, w miejscu, gdzie kiedyś oddychały i okręcały się jedna wokół drugiej. Szukaliśmy nielicznych roślin jadalnych, które są dostępne w naszej jedynej w swoim rodzaju ojczyźnie. Wszystkie trafiły do sałatki. Boski aromat naturalnych olejków wydzielanych przez zioła i liście przyciągał mnie niczym przynęta rybę. Zapach był oszałamiający, a intensywny smak i świeżość chrupiących liści dawał do myślenia. To skandal, że świeże jedzenie niszczy i jest zatrwane przez nasze śmieci, nasze zanieczyszczenia, nasze toksyny. Nie możemy już dłużej traktować w ten sposób tego, co było tutaj przed nami. Nie możemy lekceważyć tego, co daje nam matka natura. Musimy zacząć szanować naszą ziemię.

Przełożyła Anna Blasiak

To nie moje niebo. Pierwszy raz takie widzę.
Kiedy słońce poczerniało, a księżyc zszarzał?

MÓJ KAWAŁEK NIEBA



Réamoinn Ó hAircí, Seán Clintúin,
Jaic Ó hÍr, Conchúr Ó hUallacháin,
Melissa Ní Dhochartaigh,
Dara Ní Chuaig, Stiofán Mac an Mhadoc,
Danielle Nic Dhomhnaill

Niebo ma kolor krystalicznego błękitu, który wyraźnie przechodzi w ciemność. Ten połyskujący błękit to tło białych, puszystych cumulusów, często płynnie zmieniających się w kumulonimbusy, rodzaj chmury, który potrafi poszarzeć w kilka chwil i wypluć pioruny, które strząsną cię z górskiej grani, jeśli będziesz na tyle głupi, że pójdziesz tam po obiedzie.

Réamoinn Ó hAircí

Coláiste de hÍde, Tallaght

Ładny dzień, tak jasny, słońce świeci tak jasno, nawet kiedy jest za chmurami. Chłopcy patrzą na ładny dzień i nie zdają sobie sprawy, jaki jest ładny — dla nich to dzień jak co dzień. Wiatr od gór wieje mi w twarz. W kurtce mi ciepło. Niebo bardzo szybko robi się czarne. Biegnę z powrotem do domu przed deszczem. Patrzą na chłopców biegnących do domu.

Chmury się rozchodzą, słońce świeci tak jasno. Chłopcy wybiegają z powrotem i znów zaczynają się bawić. Nadal nie wiedzą, jak potężna potrafi być pogoda, i że wszystko, co teraz widzą, może któregoś dnia przepaść.

Seán Clintúin

Coláiste de hÍde, Tallaght

Jest noc. Zimno mi, ale się nie boję, ponieważ kiedy patrzę w niebo, podziwiając każdy detal księżycy i gwiazd, uświadamiam sobie, że księżyc jest jak ławica srebrnych ryb płynących po niebie, a jego światło chroni mnie przed nocą jak matka chroni dziecko przez niebezpieczeństwem. Gwiazdy też są idealnie zsynchronizowane z księżycem: tańczą po niebie, dodając nocy życia. Chciałbym móc podziwiać ten widok już zawsze, ale nie mogę i nie muszę, ponieważ to piękno i życie jutro powrócą, a ja będę czekać.

Jaic Ó hÍr

Coláiste de hÍde, Tallaght

To nie moje niebo. Pierwszy raz takie widzę. Kiedy słońce poczerniało, a księżyc zszarzał? Niebo nieustannie się zmienia. Może któregoś dnia moje niebo będzie twoje. Zawsze się zmienia — czasem na gorsze, czasem na lepsze, ale zawsze się zmienia.

Conchúr Ó hUallacháin
Coláiste de hÍde, Tallaght

Jest ciemna, pochmurna noc. Słońce zniknęło, a ja posmutniałam. Siedzę i patrzę na jasny księżyc, zmieniające kształt chmury. Za każdym razem, kiedy słońce wschodzi, nastrój mi się poprawia, a kiedy zachodzi — robię się smutna. Tysiące ludzi na całym świecie czuje to samo, kiedy wstaje księżyc.

Melissa Ní Dhochartaigh
Coláiste de hÍde, Tallaght

Jest piękny dzień, a my szykujemy się na wielki dzień w szatni. Na niebie nie ma nawet chmurki. Rozlega się gwizdek, wszyscy się koncentrują — piłka sunie gładko po ziemi. Biegamy w słońcu i do przerwy wygrywamy jednym punktem. Wszyscy są złani potem. Znów słychać gwizdek i choć zaczynamy się już męczyć, nie odpuszczamy aż do końca. Trzy minuty przed końcem meczu mamy przewagę jednej bramki. Dajemy z siebie wszystko i zdobywamy jeszcze jednego gola, więc kiedy rozlega się ostatni gwizdek, wygrywamy dwoma. Wszyscy bardzo się cieszą; skaczą i krzyczą, że zwyciężyliśmy z Cork w finale hrabstwa.

Dara Ní Chuaig
Coláiste de hÍde, Tallaght

Niebo jest niebieskie, a w powietrzu mkną miękkie chmury.
Dziś był wspaniały dzień, a niebo wieńczy go spokojnym, lekkim wiatrem.
Dzięki niebu nasza wycieczka się udała: gdyby było mokro i ponuro, mielibyśmy okropny, zimny dzień.
Morze stapiało się w jedno z niebem, horyzont był czysty, a morze spokojne.
Wszystkie ptaki latały swobodnie, ponieważ nie padało i nie wiał silny wiatr.

Stiofán Mac an Mhadoc
Coláiste de hÍde, Tallaght

Kiedy podnoszę wzrok na niebo i widzę chmury, a ludzie mówią, że pełno w nich wody, myślę sobie, że pozbywają się one swoich smutków, wypłakując deszcz. Nie tylko ludzie się martwią i okazują emocje - chmury też mogą je mieć. Chmury okazują uczucia deszczem, który może być ich sposobem na płacz. Sądzę też, że ładna pogoda oznacza, że są zadowolone, i z tego powodu nie wypuszczają deszczu; moim zdaniem słońce i ładna pogoda mogą poprawić ludziom humor.

Danielle Nic Dhomhnaill
Coláiste de hÍde, Tallaght
Przełożyła Marta Dziurosz

ZAĆMIENIE SŁOŃCA W GIMNAZJUM IM. ROMAINA ROLLANDA



Igor Zaytsev
Romain-Rolland-School, Berlin

20 marca 2015 r.

Budzik dzwoni, a ja od razu przypominam sobie o wydarzeniu, które już od miesiąca dokładnie omawiamy na moich dodatkowych zajęciach z fizyki. Dzisiaj w szkole zdarzy się coś zupełnie niezwykłego. Coś tak rzadkiego i spektakularnego, że oficjalnie pozwolono mi zwagarować z biologii i częściowo z angielskiego. Przypuszczalnie, drogi czytelniku, od dawna już wiesz, o czym piszę. Oczywiście chodzi o zaćmienie Słońca, które będzie można podziwiać dzisiaj w Berlinie i dużej części Europy. Dlatego dzisiaj rano jestem ogromnie zadowolony. Po pierwsze dlatego, że pierwszy raz w życiu zobaczę na żywo prawdziwe zaćmienie Słońca, a po drugie oczywiście dlatego, że nie będę mieć biologii — a zamiast w klasie spędzę ten czas na szkolnym podwórku, przygotowując stanowisko obserwacyjne i ciesząc się ciepłą, słoneczną wiosenną pogodą. A skoro mowa o pogodzie: było sporo prognoz przepowiadających zachmurzenie w dniu zaćmienia. Na pewno nie tylko mnie spadł więc kamień z serca, kiedy po drodze do szkoły popatrzyłem w niebo, a tam nie było ani jednej chmury. Właściwie to w tym roku nie widziałem jeszcze tak czystego i błękitnego nieba. Wyglądało to, jakby ktoś umył kopułę nieba i postawił ją świeżo wypolerowaną nad Berlinem. Nieskończony błękit przecinały jedynie gdzieniegdzie smugi kondensacyjne, pozostawione przez odrzutowce. Jedno trzeba dziś przyznać — z pogodą mamy prawdziwe szczęście. „Na razie ciągle jest słońce“ — myślałem sobie, wchodząc do szkoły. „Na razie“. Po dwóch lekcjach geografii, które wydały mi się najkrótsze w życiu, wyszedłem na szkolne podwórze, aby razem z innymi uczestnikami dodatkowych zajęć z fizyki przygotować stanowisko obserwacyjne wyposażone w tych kilka instrumentów, jakie mieliśmy do dyspozycji. Jakie to instrumenty? Mamy coś, co nazywa się „Solarscope“, czyli przyciemniony teleskop służący specjalnie do obserwacji Słońca. Poza tym mamy rzutnik słoneczny, czyli tekturowe pudło, w którym obraz Słońca jest projektowany na ekran. No i oczywiście mnóstwo okularów do obserwacji zaćmienia, które wyglądają dosyć... niezwykle, ale pozwalają patrzeć prosto w Słońce bez wypalenia sobie oczu. Teraz może się już zaczynać!

Na pewno nie tylko mnie spadł więc kamień z serca, kiedy po drodze do szkoły popatrzyłem w niebo, a tam nie było ani jednej chmury. Właściwie to w tym roku nie widziałem jeszcze tak czystego i błękitnego nieba. Wyglądało to, jakby ktoś umył kopułę nieba i postawił ją świeżo wypolerowaną nad Berlinem.

Okolo dziesiątej Księżyc powoli, ale nieubłaganie zaczął nasuwać się na Słońce. W czasie długiej przerwy zasłonięte było już prawie 80% tarczy. Z budynku szkoły zaczęli wylewać się młodszy i starsi uczniowie, aby podziwiać ten spektakl natury. Zebrał się i otoczył mnie wielki tłum. Na szczęście stanowisko obserwacyjne było ogrodzone, więc znajdowałem się w czymś w rodzaju strefy dla VIP-ów, wolnej od zamieszania. O dziwo, w chwili największego zaćmienia zwróciłem uwagę na coś, czego się w ogóle nie spodziewałem. Promienie słoneczne stały się chłodne. Serio! Księżyc zakrywał prawie całe Słońce, ale ciągle było dość jasno, chociaż światło słoneczne nie rozgrzewało już mojej skóry tak jak wcześniej. Przerwa szybko się skończyła, a uczniowie zaczęli rozchodzić się do klas. Księżyc kontynuował swoją wędrówkę i wkrótce odsłonił znajomą, okrągłą tarczę Słońca. Podwórko opustoszało, zostali tylko uczniowie z dodatkowych zajęć z fizyki, aby zdemontować instrumenty.

I tak minął dzień, w którym promienie słoneczne stały się zimne. Dla mnie ten piątek był pełen wrażeń i bardzo przyjemny. Założę się, że nie tylko dla mnie. Po południu wygooglałem, kiedy będzie następne takie zaćmienie w Niemczech. Odpowiedź: 12 sierpnia 2026 r. Jestem pewien, że będę je także oglądać, i mam nadzieję, że Ty, drogi czytelniku, także.

Przełożył Jakub Gluszek

NA ZEWNĄTRZ FRAGMENT



Michéal Eastwood
Mount Seskin Community College, Tallaght

Otworzyłem oczy, usiadłem w łóżku i rozejrzałem się po nijakim, pustym pokoju, jak codziennie rano, żeby przypomnieć sobie, gdzie jestem. Wstałem i poszedłem do rogu pokoju, gdzie stało brudne wiaderko, na którym namalowano słowo „toaleta”. Zrobiłem to, co każdego ranka, a potem przeszedłem na środek pomieszczenia i usiadłem po turecku przy oknie. Światło z zewnątrz padło mi na twarz i pomyślałem: „Słońce wyszło się pobawić”. Podniosłem wzrok, żeby wyrzucić przez okno, i światło mnie oślepiło — musiałem zmrużyć oczy. Krajobraz na zewnątrz wyglądał jak idealnie dopracowany obraz: na czystym niebieskim niebie widać było tylko kilka kredowobiałych chmur, pięknie rozmieszczonych tak, żeby nie zepsuć widoku. Słońce w pełnej krasie wyglądało tak, jakby uśmiechało się do świata z wdziękiem i radością, przynosząc życie planecie i jeszcze bardziej ożywiając widoczne w oddali szczyty zielonych wzgórz. Siedziałem tak przez jakiś czas, wyglądając przez okno i ciesząc się widocznym za nim pięknem.

Na korytarzu dało się słyszeć kroki. Kiedy się zbliżyły, zerwałem się na nogi i podbiegłem do drzwi, krzycząc: „Mamusi!” . Mama weszła do pokoju i szybko zamknęła za sobą drzwi. Robiła tak za każdym razem, kiedy wchodziła, a ja nigdy nie pytałem, dlaczego. Odwróciła się do mnie — zawsze uważałem ją za najpiękniejszą osobę na świecie. Jej oczy, jasnoniebieskie jak niebo, zawsze promieniowały miłością. Miała śliczne blond włosy, które lśniły w słońcu; nie potrafiłem nie odwzajemnić jej delikatnego uśmiechu. Przytuliła mnie. „Jak się masz, mój synu?” — zapytała najłagodniejszym głosem, jaki umiałem sobie wyobrazić. Spojrzałem na nią, lekko pocałowałem jej błądy policzek i powiedziałem: „Chcę wyjść na zewnątrz”. Matka nachyliła się, obejmując dłońmi moje ramiona, i spojrzała mi w oczy. „Wiesz, że na zewnątrz jest niebezpiecznie, kochanie” — powiedziała, przeczesując dłońią moje włosy. „Nic mi nie będzie, obiecuję” — zapewniłem z szerokim uśmiechem. „Już o tym rozmawialiśmy, kochanie. Świat na zewnątrz to niebezpieczne miejsce, pełne ludzi, którzy cię skrzywdzą” — odparła spokojnie. Czułem, że ścisła moje ramiona coraz mocniej, a jej głos brzmiał tak, jakby miała się zaraz rozplakać, ale dalej się uśmiechała

i nie odrywała ode mnie wzroku. Nie straciła nad sobą panowania. „Ale gdybym...” — zacząłem, ale przerwała mi, mówiąc: „Trzeba cię nakarmić, kochanie”. Wyprostowała się i zabrała za rutynowe poranne czynności. Podeszła do okna i otworzyła je, żeby „wpuścić świeże powietrze”, jak zwykła mawiać. To była moja ulubiona chwila poranka: słyszałem dźwięki dochodzące z zewnątrz. Podbiegłem do okna i spojrzałem w górę; nie potrafiłem go dotrzeć, więc tylko zamknąłem oczy i cieszyłem się cudownymi odgłosami, które rozbrzmiały w pokoju. Matka poszła po śniadanie, a ja słuchałem świata za oknem, który wydawał się nieskończony. Dobiegł mnie znajomy, beztroski świergot. „Ptaki!” — krzyknąłem radośnie, z szerokim uśmiechem. Łowiłem kolejne dźwięki i koncentrowałem się na warkocie samochodów i motocykli, szumie wiatru, krokach. Czekałem na mój ulubiony odgłos: ludzi. Uwielbiam głosy przechodzących ludzi, a szczególnie piski innych dzieci bawiących się na ulicach, choć słuchanie ich sprawia, że chcę wiedzieć, jakby to było być tam z nimi, ze słońcem na twarzy i wiatrem we włosach. Może... może to mnie ktoś mógłby słuchać przez okno.

[Proszę kliknąć tutaj, żeby przeczytać całość opowiadania](#)

Przełożyła Marta Dziurosz

Globalne ocieplenie i zanieczyszczenie
Niszczy planetę Ziemię i nasze korzenie.
Globalne ocieplenie, globalne ocieplenie
Gorsze niż palenie.

GLOBALNE OSTRZEŻENIE – SLAM PODSTACJI



Michał Gwardzik, Mateusz Zborowski,
Gabriel Cieślak, Fabian Piskorski
Zespół Szkół Ogólnokształcących
im. Obrońców Helu

Globalne ocieplenie i zanieczyszczenie,
Globalne ocieplenie i zanieczyszczenie
Niszczy planetę Ziemię i nasze korzenie.
Globalne ocieplenie, globalne ocieplenie
Gorsze niż palenie.
Spalamy węgiel, spalamy ropę.
Nie lataj samolotem,
Bo zniszczysz nam Europę.
Nasze korzenie
światowa natura
Są lepsze niż wysypiska i stalowa rura.
Stalowe rury wpływające do naszych mórz,
Wprowadzają do nich ścieki,
Więc może starczy już!

GRAMPIANY



Javier Diaz
Footscray City College, Melbourne

Wychodzę z domu prosto na słońce i widzę tylko błoto, czyste, błękitne niebo, mrówki, króliki oraz kangury. Rozglądam się dookoła i dostrzegam grupkę mrówek, która zbiera się, by wrócić do swojego domu. Zerkam w górę, zaciągam się świeżym powietrzem. Chmury płyną wolno po niebie, jakby brały udział w wyścigu żółwi. Czuję na sobie wiatr, jakbym stał pod prysznicem. Patrząc w dal i widzę dwa kangury, które wpatrują się we mnie. Gdy ruszam się z miejsca, one robią to samo.

Przełożyła Anna Blasiak

JEJ KRÓLEWSKA MOŚĆ – NASZA ZIEMIA



Kayleigh Ratcliffe
Mount Seskin Community College, Tallaght

Splątana zieleń okrywa królestwo,
Z bujnych lasów wyrosła,
Jej czyste płótno było pustką bezkresną,
Nad którą moc słońca się wzniosła,
Czerwień jej ust była źródłem zachwytu
Obok czerni węgla
I morza błękitu.

Tworząc jej panowanie
Poprzez zagadek odkrywanie
Jej poddani spierali się o jej powstanie,
Czy stworzona czyjaś dłonią,
Czy przez wielki wybuch,
Lecz to nie kłopotąło ich radosnej przywódczyni,
Której jedynym zmartwieniem była ich niejasna przyszłość.

W miarę upływu wieków i lat
Cuda, potęgi i dzieła przychodziły na świat,
Nikt nie przewidział, co dalej się zdarzy,
Że gniazda sępów pojawią się wśród gospodarzy.

Zmęczona, wyczerpana,
Nasz cud miał już dość,
Poddani ją zrujnowali,
Wzbierała w niej złość
Na tych, co ją okradli
I w potrzasku dali jej konać,
Plan jej zemsty powstawał i miał się dokonać.

Tworząc jej panowanie
Poprzez zagadek odkrywanie
Jej poddani spierali się o jej powstanie,
Czy stworzona czyjąś dłonią,
Czy przez wielki wybuch,
Lecz to nie kłopotowało ich radosnej przywódczyni,
Której jedynym zmartwieniem była ich
niejasna przyszłość.

Płuca jej poddanych zniszczone jej łą,
Spragnione pijawki parzyły się krwią,
Pogrzebała ocalałych
W szczelinach swojego serca,
Potem zamarła
Ich władczyni rozdarła w pół
Gdyby zapobiegli,
Dali wykluć się jajkom,
Poddani ocaliliby swe królestwo
Przed tak zupełnym upadkiem.
Przełożyła Marta Dziurosz

ŻÓŁW



Olivia Burmeister
Footscray City College, Melbourne

Delikatny szum silnika bębni mi w uszach, gdy patrzę na silne, a jednocześnie pełne spokoju fale rozbijające się o motorówkę, która podskakuje na rozkołysanym morzu. Chłodna bryza owiewa mi twarz. W drodze na czystą, zieloną wyspę podziwiam kilka chmurków rozrzuconych przypadkowo na błękitnym jak ocean niebie. Parę ptaków unosi się w chmurach. Mrużę oczy w ostrym słońcu, które jest jak bryłka złota dryfująca po nieboskłonie. Opuszczam łódź i wskakuję do krystalicznej wody, wierzgam nogami i chlapię się w świeżej, a jednocześnie cieplej wodzie morskiej. Setki najwspanialszych, najpiękniejszych ryb chowają się i wyskakują ze swoich unikalnych, koralowych domów. Pomiedzy uderzeniami ramion przecinających wodę, widzę ciemny, zielonobrazowy pancerz, który przepływa zaraz pode mną. Rozpoznaję 70-letniego żółwia. Wystawia głowę nad powierzchnię wody dokładnie w tym samym momencie, gdy ja się z niej wynurzam, by popatrzeć na słońce. Głowa żółwia raz po raz przecina powierzchnię, by odetchnąć świeżym powietrzem.

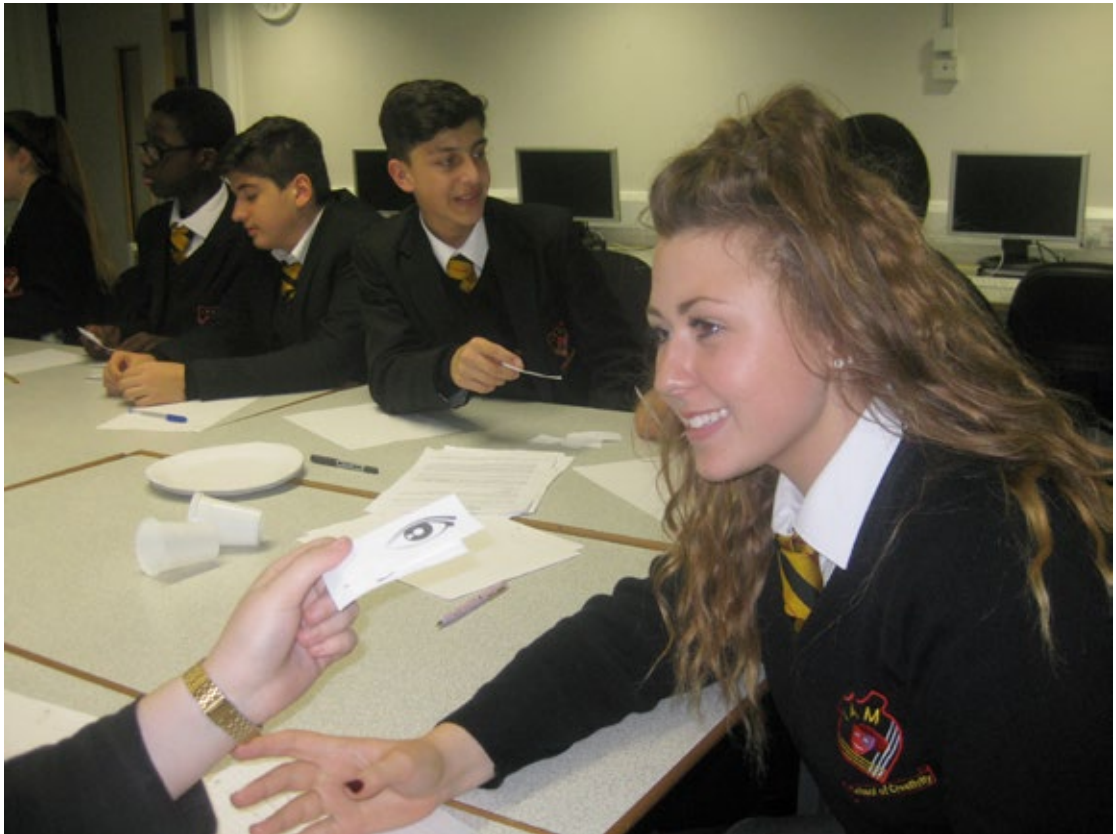
Przełożyła Anna Blasiak

GLOBALNE OSTRZEŻENIE – SLAM PODSTACJI



Weronika Bokota, Marcin Pieszak,
Ewelina Kurpet, Ola Górską
Zespół Szkół Ogólnokształcących
im. Obrońców Helu

Plaża, słońce, morświny gorące...
A żebracy zbierają pieniądze...
Atmosfera się ogrzewa,
No i drzewa sadzić trzeba.
Morświn, morświn, przyjacielu,
Czemu nie ma cię na Helu.
Recykling dobra rzecz,
Każdy w domu ogląda mecz.



MY Z ZACHODU



Mo Konteh
Arts and Media School, Islington, Londyn

My z Zachodu jesteśmy w stanie
ocalić to, co kiedyś mieliśmy
ale zaczęliśmy działać
dopiero w ostatniej chwili.

Żyjemy pod kloszem,
nasze olbrzymie bogactwa
chronią nas przed kłopotami
i marnują dobra Ziemi.

Dlaczego tak późno to dostrześliśmy?
Dlaczego nas to nie martwi?
Wiemy, jak zarabiać,
ale nie jak chronić ludzi jutra.
Przełożyła Marta Dziurosz

Rozmawiając ostatnio z przyjacielem, mówiłem o praktyce „łagodnych oczu”, stosowanej przez niektóre tubylcze społeczności w Australii... w widzeniu ziemi... „Łagodne oczy” to patrzenie na ziemię i niebo i wodę w taki sposób, który nie pozwala skupić się na pojedynczym przedmiocie czy miejscu. Nie widząc niczego ze szczególną dokładnością, człowiek może zająć się bardziej całością. TONY BIRCH, CZAS

O PARTNERACH



Free Word, Londyn

Free Word (Wolne Słowo) to międzynarodowy ośrodek na rzecz literatury, czytelnictwa i wolności wypowiedzi, który celebruje i bada to, jak słowa mogą zmienić życie. Poprzez nasz program artystyczny i publiczne wydarzenia promujemy i chronimy słowo pisane oraz mówione, a także zapewniamy przestrzeń do współpracy, poszukiwań i protestu.

Działamy głównie na trzech polach:

Nasz budynek stanowi ważne miejsce spotkań i siedzibę organizacji zajmujących się literaturą, czytelnictwem i wolnością wypowiedzi. Na stałe mieści się u nas sześć organizacji, a współpracuje z nami ponad trzydzieści.

Wraz z organizacjami zrzeszonymi i innymi partnerami oferujemy całoroczny program ogólnodostępnych wydarzeń – debat, pokazów filmowych, konferencji i wystaw – na tematy polityczne, kulturalne i światopoglądowe.

We współpracy z partnerami z Londynu, kraju i świata prowadzimy trzy główne programy badań: nad przekładem (Potęga przekładu); nad środowiskiem naturalnym (Życie na skraju: opowieści o zmianie klimatu); oraz demokracją (Wolność słowa).

www.freewordcentre.com



Międzynarodowy Festiwal Literatury w Berlinie (ILB)

Międzynarodowy Festiwal Literatury w Berlinie (ILB) odbywa się co roku na początku jesieni. Jego celem jest przedstawienie

współczesnych osiągnięć w prozie i poezji z całego świata i pozwolenie publiczności na doświadczenie literackiej różnorodności w dobie globalizacji. Nowe, fascynujące odkrycia stoją obok uznanych mistrzów literatury światowej, zostają zauważone, a połączenia stają się widoczne, gdy w trakcie 180 imprez trwających 11 dni, 150 autorów zapewnią wgląd w nowe i tradycyjne nurty w literaturze światowej. Proza, poezja, rozmowy z twórcami i dyskusje polityczne, literatura dla dzieci i młodzieży, ekranizacje literatury – ILB jest ważnym, wielojęzycznym forum przygotowanym przez i dla miłośników literatury.

www.literaturfestival.com



Krytyka Polityczna, Warszawa

Krytyka Polityczna powstała z ambicją ożywienia tradycji polskiej inteligencji zaangażowanej. Naszą działalność rozwijamy w trzech głównych sferach: nauki, kultury i polityki, starając się jednocześnie eliminować między nimi sztuczne podziały. Wierzymy, że naukę, sztukę i politykę dzielą jedynie środki wyrazu, łączy zaś wpływ na kształt życia społecznego. Naszym podstawowym celem jest wprowadzenie i umocnienie w sferze publicznej lewicowego projektu walki z ekonomicznym i kulturowym wykluczeniem, zwiększenie udziału obywateli w życiu publicznym i popularnej świadomości społecznej w sferze publicznej; wypracowanie diagnozy i rozwiązania dla obecnego załamania więzi społecznych i społecznej wyobraźni.

W zaledwie kilka lat udało nam się stworzyć największą polską platformę społeczno-polityczną i rozszerzyć naszą działalność również za granicą. Działamy nie tylko w sferze akademickiej, ale także w mediach głównego nurtu. Prowadzimy ośrodki kultury (w Warszawie, Cieszynie, Gdańsku, Łodzi), sieć ponad 20 lokalnych grup aktywistów, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Dziennik Opinii, Instytut Studiów Zaawansowanych w Warszawie prowadzący badania naukowe i działalność dydaktyczną.

www.krytykapolityczna.pl



Tallaght Community Arts, Dublin

Tallaght Community Arts jest organizacją animującą działania w obszarze sztuki i kultury, współpracującą ze społecznościami lokalnymi, szkołami i grupami młodzieżowymi od 1996 roku. Tallaght Community Arts tworzy w sercu społeczności: w

szkołach, ogródkach, stadionach piłkarskich oraz domach ludzi, a także w wyznaczonych przestrzeniach artystycznych. Nasza działalność skupia się na wspieraniu i zachęcaniu ludzi w każdym wieku do bycia zaangażowanym w tworzenie sztuki. Stawiamy ludzi w centrum procesu kulturowego.

Partycypacja i aktywny udział jest w samym sercu naszej pracy, co pozwala nam aktywnie szukać pomysłów, które mogą być wykorzystane w tworzeniu sztuki. Jest to proces dwukierunkowy. Łączymy ludzi, aby mogli zgłębiać swoją kreatywność i chęć pracy twórczej: pisarzy, nauczycieli, plastyków, reżyserów, choreografów, dźwiękowców, polityków, osoby starsze, dzieci w wieku szkolnym i młodzież.

Zlecamy nowe prace i projekty w całym South Dublin County otwierając sprawczy potencjał sztuki dla szerokiej grupy uczestników i widzów. Uczestnicy widzą, że praca z wiodącymi krajowych i międzynarodowymi artystów pozwoliła im nabyć nowe umiejętności i poszerzyć horyzonty. Natomiast artyści wzbogacają swoją pracę i warsztat.

www.tallaght-arts.ie



The Wheeler Centre (Melbourne)

Wheeler Centre zostało utworzone w 2010 roku, kiedy to Melbourne uzyskało tytuł Miasta Literatury UNESCO, doceniając międzynarodową pozycję miasta w świecie literatury, książek i idei. W ciągu zaledwie pięciu lat Wheeler Centre stało się jedną z czołowych australijskich organizacji artystycznych, której celem jest wzbogacenie publicznej debaty i uczynienie jej formą sztuki. Wheeler Centre wierzy w moc myśli i debat. Stworzyliśmy centrum dla działalności literackiej i idei, które definiują to miasto.

Każdego roku projektujemy i tworzymy bogaty program ponad 220 wykładów, wydarzeń i dyskusji na temat literatury, sztuki, tożsamości i spraw publicznych skierowanych do ponad 40,000 widzów. Dostępność jest naszą wiodącą zasadą, a my staramy się zapewnić, by ponad osiemdziesiąt procent naszego programu było bezpłatne, a pozostała część nie wymagała dużych nakładów finansowych. Wspieramy naszych pisarzy poprzez Literary Awards Victorian Premier i Festiwal Książki Dziecięcej oraz świadczenia rezydencyjne i stypendia. Nasze cyfrowe ramię to nagrania video i audio z wydarzeń w centrum oraz codzienne artykuły, co pozwala nam dotrzeć do odbiorców regionalnych, krajowych i międzynarodowych.

Jako instytucja kultury, dążymy do tego, aby być podwalingą

O PODSTACJACH



W Irlandii – Colaiste de Hide, Mount Seskin Community College i Firhouse Community College

Organizacja Tallaght Community Arts i jej partner, firma producencka Collective Action, współtworzą z udziałem trzech gimnazjów program kulturalno-edukacyjny badający udział narracji w stworzeniu wizji tego, jak w efekcie zmiany klimatu będziemy żyli w roku 2050. Nauczyciele i uczniowie (w przedziale wiekowym 14–17) pracują z naukowcami i naszym pisarzem-rezydentem z ramienia Stacji Pogody, wielokrotnie nagradzanym irlandzkim autorem książek dla nastolatków i ilustratorem, Oisínem McGannem.

Projekt obejmuje zajęcia z geografii, przedmiotów ścisłych i humanistycznych, angielskiego, języków obcych, informatyki oraz rozwój osobisty i społeczny. Uczestniczą w nim trzy szkoły: Colaiste de Hide, Mount Seskin Community College i Firhouse Community College.



W Wielkiej Brytanii – Arts and Media School, Islington

Free Word współpracuje z kadrą i uczniami Arts and Media School, Islington (AMSI) w rozważaniach o postrzeganiu zmiany klimatu przez pryzmat literatury i narracji. Projekt zachęca uczniów do angażowania się w działanie na rzecz środowiska i zrównoważonego rozwoju na lokalną i globalną skalę.

AMSI to państwowa koedukacyjna szkoła w centrum londyńskiego Islington. Mamy otwarte, przyjacielskie, entuzjastyczne

podejście do nauki i tworzymy dynamiczne środowisko edukacyjne, które stawia naszym uczniom wysokie wymagania.

Warsztaty stanowią część programu zajęć pozaszkolnych i łączą literaturę, geografię oraz politykę klimatologii. Uczniów wspiera kadra szkoły, koordynator Podstacji i pięciu pisarzy-rezydentów odwiedzających nas z centrów w Berlinie, Dublinie, Londynie, Melbourne i Warszawie.



W Australii – Footscray City College

W ramach projektu Stacje Pogody w Footscray City College grupa uczniów z dziewiątej klasy bierze udział w nowatorskim programie zachęcającym ich do reagowania na zmianę klimatu i środowisko poprzez sztukę i kreatywność. Będą uczestniczyć w warsztatach pisarskich z Tonym Birchem, pojedą na wycieczki – podążą na przykład zaułkami miasta, pójdą na spacer brzegiem rzeki Yarra i zobaczą ją z perspektywy rdzennej ludności, a także będą z przewodnikiem zbierać dziko rosnącą żywność w Footscray (potem przygotowują z niej posiłek) – i spotkają się z odwiedzającymi szkołę wiodącymi myślicielami i artystami. Uczniowie biorący udział w Stacjach Pogody wybrali program jako jeden z przedmiotów fakultatywnych na rok 2015. „Sądzę, że nauczyciele często zadają sobie pytanie, jak zaangażować uczniów w myślenie o zmianie klimatu i przeciwdziałanie jej?” – mówi Sue Dwyer, która koordynuje Stacje Pogody w Footscray City College. – „Dla większości nastolatków to wciąż zupełnie abstrakcyjne pojęcie; nie pojmują, jak palący to problem i nie widzą powodu, dla którego należałoby marnować na niego czas i energię. O zmianie klimatu mówi się w wiadomościach, ale niewiele nastolatków śledzi wiadomości. Zapewne lepiej znają scenariusze postapokaliptycznych powieści, filmów i gier komputerowych, które uważają za nierzeczywiste. Jednak czeka ich przyszłość całkowicie inna od tej, którą większość z nas sobie wyobraża. To obywatele, a nawet przywódcy i decydenci jutra. Ich pokolenie musi dokonywać odkryć, wprowadzać innowacje i tworzyć nowe style życia, przemysły, drogi kariery i wybory konsumerskie. Aby to zrobić, muszą myśleć analitycznie i twórczo“.



W Polsce – Zespół Szkół Ogólnokształcących w Helu

Krytyka Polityczna współpracuje z nauczycielami i uczniami z Zespołu Szkół Ogólnokształcących w Helu, prowadząc warsztaty i wydarzenia na temat tego, jak możemy się stopni-

owo zmieniać, aby działać bardziej świadomie i z większą troską o ekologię. Zajmujemy się rzeczywistym, lokalnym i globalnym problemem zmiany klimatu i zrównoważonego rozwoju poprzez literaturę i narrację.

Warsztaty łączą literaturę, geografę i klimatologię. Jesienią 2014 roku uczniowie przygotowali i przedstawili sztukę teatralną „Błękitna planeta“, naświetlającą kwestię nierównomiernej redystrybucji finansowej, wielkiego problemu naszych czasów. Sztuka jest oparta na historii błękitnej planety autorstwa Andriego Snæra Magnasona. W nadmorskim Helu, gdzie wielu ludzi utrzymuje się z rybactwa, jest to bardzo ważny temat.

Uczniom pomagają nauczyciele, koordynator Podstacji, pięcioro pisarzy-rezydentów z centrów w Berlinie, Dublinie, Londynie, Melbourne i Warszawie, a także nasz partner w Helu – założona w 1992 roku Stacja Morska. Jest to polowa stacja stanowiąca część struktury Instytutu Oceanografii Uniwersytetu Gdańskiego. Jako jedyna tego rodzaju stacja w Polsce jest ona do dyspozycji całej społeczności naukowej kraju i zapewnia wsparcie terenowe wszystkim grupom badawczym pracującym w rejonie (grupom akademickim z różnych szkół wyższych, instytucjom działającym w pokrewnych dziedzinach i Polskiej Akademii Nauk).



W Niemczech – szkoła im. Sophie Scholl i szkoła im. Romaina Rollanda

Międzynarodowy Festiwal Literatury w Berlinie pracuje z dwiema szkołami. Pięcioro pisarzy biorących udział w projekcie odwiedza uczniów i omawia z nimi następujące pytania: co oznacza dla nas zmiana klimatu? Czy literatura może nas na nią uwrażliwić? Czy możemy zgłębić ten temat za pomocą twórczości literackiej?

Uczniowie uczestniczą w warsztatach w teatrach i muzeach, a także w dyskusjach i wykładach nie tylko po to, żeby poszerzyć swoją wiedzę, ale też aby rozwinąć empatię.

Szkoła im. Sophie Scholl mieści się w berlińskiej dzielnicy Schöneberg. Pracujemy z grupą z dziesiątej klasy.

Szkoła im. Romaina Rollanda znajduje się w dzielnicy Reinickendorf. To gimnazjum koncentruje się na nauce francuskiego, ale uczniowie mówią też po angielsku. Nasza podstacja to czternaścioro uczniów z dwunastej klasy, biorących udział w zajęciach z angielskiego.

O PISARZACH

Z przyjemnością przedstawiamy pięcioro pisarzy programu rezydencyjnego Stacji Pogody, wybranych ze względu na ich talent, styl oraz zaangażowanie w kreowanie bardziej zrównoważonej przyszłości:



Xiaolu Guo pracuje z Free World w Londynie

Jedna z osób na liście najlepszych pisarzy i pisarek przed czterdziestką według brytyjskiego magazynu Granta. Xiaolu Guo jest przejmująca, wyrazista, zabawna i często niepokojąco dokładna.

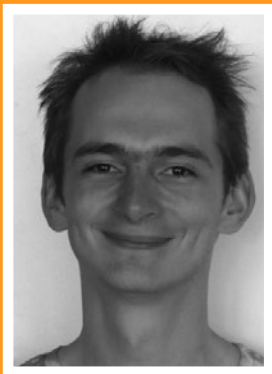
Guo jest autorką powieści: „I Am China“ i „Mały słownik chińsko-angielski dla zakochanych“ („A Concise Chinese-English Dictionary for Lovers“) i laureatką nagrody „City of Venice“ na Festiwalu Filmowym w Wenecji za film „UFO in Her Eyes“. Otrzymała też nominację do nagrody Orange Prize for Fiction.



Mirko Bonné pracuje z międzynarodowym festiwalem literatury w Berlinie

Mirko Bonné urodził się w 1965 r. w Tegernsee, a mieszka w Hamburgu. Poza przekładami - między innymi - Sherwooda Andersona, Roberta Creeleya, E. E. Cummingsa, Emily Dickinson, Johna Keatsa, Grace Paley i Williama Butlera Yeatsa opublikował pięć powieści, pięć zbiorów poezji oraz tom relacji z podróży

i esejów. Otrzymał za swoją twórczość wiele nagród, w tym francuską Prix Relay du Roman d'Évasion, nagrodę im. Marie Louise Kaschnitz oraz nagrodę im. Rainera Malkowskiego. Jako „pisarz-rezydent“ odwiedził Marsylię, Rio de Janeiro i Szanghaj. Jego powieść „Nie mehr Nacht“ była w 2013 roku nominowana do nagrody literackiej Deutscher Buchpreis. Dyskusję „Zmiana klimatu a opowieści“ z jego udziałem, która odbyła się w Londynie 17 marca 2015 r., można obejrzeć tutaj: www.freewordcentre.com/blog/2015/05/watch-climate-change-the-stories-we-tell/



Jaś Kapela pracuje z Krytyką Polityczną w Warszawie

Jaś Kapela jest poetą, prozaikiem, felietonistą oraz członkiem zespołu Krytyki Politycznej. Dumny ze swojej lewicowości pisze zabawnie o mrocznych sprawach, przede wszystkim o konflikcie strauumatyzowanych jednostek ze społeczeństwem, które zmierza prosto do piekła. Nierzadko jego twórczość literacka bywa rodzajem performansu społecznego. W 2013 roku Kapela brał udział w kampanii Live Green na rzecz ekologicznego stylu życia, prowadzonej przez Green Cross Polska.

Kapela jest m.in autorem książki „Stosunek seksualny nie istnieje“ i „Janusz Hrystus“. W maju 2015 ukaże się jego trzecia powieść, „Dobry troll“.



Oisín McGann pracuje z Tallaght Community Arts w Dublinie

Oisín McGann jest jednym z najbardziej znanych irlandzkich autorów i ilustratorów książek dla dzieci i nastolatków. Jego twórczość łączy fantastyczne światy z rzeczywistymi problemami, aby młodzi czytelnicy mogli rozważyć ich często dość doniosłe społeczne i osobiste konsekwencje. Działalność pisarska i ilustracje McGanna

stanowią dla początkujących pisarzy bodziec do badania mechanizmów pisania o zmianie pogody w pełen wyobraźni i prowokujący sposób, który wciągnie młodych czytelników. Jest autorem 11 powieści dla nastolatków, w tym najnowszej – dwuczęściowej opowieści „King of the Realm“, wydanej w 2014 r.



Tony Birch pracuje z Wheeler Centre w Melbourne w Australii

Tony Birch urodził się w Melbourne, w dużej rodzinie aborygeńsko-karaibsko-irlandzkiego pochodzenia. Trudne dorastanie inspiruje wiele jego prac. Dwie z powieści Bircha, „Shadowboxing“ i „Father’s Day“, to lektury w liceach w australijskim stanie Wiktoria.

Birch jest także autorem książki „Blood“, która w 2012 r. była na liście finalistów Miles Franklin Award.

O TŁUMACZACH



Wszyscy partnerzy byli absolutnie zgodni co do tego, że Stacje Pogody będą trójjęzyczne, i mieli przyjemność współpracować z następującymi tłumaczami:

Małgorzata A. Bartula to germanistka, teatrolożka, scenarzystka, dramaturg, wydawca, kuratorka w obszarze sztuki niezależnej i działań w przestrzeni publicznej, tłumaczka. Mieszka w Warszawie i Berlinie.

Gisela Böhnisch pochodzi z Niemiec i jest profesjonalną tłumaczką angielskiego i niemieckiego. Po Irlandii, Hiszpanii, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Nowej Zelandii i Australii osiadła w Londynie. W 2012 r. uczestniczyła w organizowanej przez BCLT letniej szkole przekładu literackiego, recenzuje książki dla brytyjskich wydawców i pracuje w księgarni. Kiedy nie tłumaczy, podróżuje po świecie, bloguje o literaturze, filmie i festiwalach muzycznych, a także organizuje wydarzenia kulturalne.

Rebecca DeWald jest tłumaczką niemieckiego, angielskiego, francuskiego i hiszpańskiego, mieszka w Glasgow. Kończy doktorat z translatoryki na Uniwersytecie w Glasgow na temat przekładów Virginii Woolf i Franza Kafki autorstwa argentyńskiego pisarza Jorge Luisa Borgesa. Jako współzałożycielka i współredaktorka Glasgow Review of Books chce odstąpić „skromną tajemnicę” przekładu (Borges) przed krytycznymi czytelnikami, bez względu na to, czy wiedzą cokolwiek o teorii translacji. Chętnie uczestniczy w

interesujących przedsięwzięciach popularyzujących przekład i ekologię. Można skontaktować się z nią przez Twittera (@DeWald_Rebecca), GRB lub LinkedIn.

Marta Dziurosz mieszka w Londynie. Zajmuje się przekładem pisemnym oraz ustnym z angielskiego i na angielski od ponad dziesięciu lat. Jest członkinią Translators Association. Tłumaczyła już literaturę podróżniczą, powieści historyczne, prace akademickie, scenariusze filmowe, spotkania autorskie, wykłady i wspomnienia ofiar Holokaustu. Jej najnowsze przekłady to fragment powieści „Cwaniary“ Sylwii Chutnik na stronie For Books' Sake (przekład na angielski) oraz wiersze Nessy O'Mahony w czerwcowym numerze ArtPapieru (przekład na polski). Pracuje też w wydawnictwie Pan Macmillan. Jej konto na Twitterze to @MartaDziurosz.

Isabel Fargo Cole to urodzona w Stanach, a mieszkająca w Berlinie pisarka i tłumaczka. Przełożyła na angielski m.in. „Boys and Muderers“ Hermanna Ungara (Twisted Spoon Press, 2006), „All the Roads Are Open“ Annemarie Schwarzenbach (Seagull Books, 2011), „The Jew Car“ Franza Fühmanna (Seagull Books, 2013) oraz „Eseje wybrane“ Friedricha Dürrenmatta. Jej przekład „I“ Wolfganga Hilbiga ukaże się nakładem Seagull Books latem 2015. Jest założycielką i współredaktorką www.no-mans-land.org, internetowego magazynu o nowej literaturze niemieckiej

Katarzyna Fetlińska, urodzona w 1991 r. w Ciechanowie, jest pisarką, tłumaczką i doktorantką w Instytucie Anglistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Jej prace literackie i akademickie skupiają się na związkach między humanistyką a naukami ścisłymi. Głównie interesuje ją rosnące znaczenie neurobiologii we współczesnej kulturze. Najczęściej tłumaczy teksty naukowe i poezję.

Jakub Głuszak urodził się w 1982 r. w Kielcach. Jego wiersze i przekłady ukazały się w wielu periodykach, m. in. w Ricie Baum, Wakacie i Przekładańcu. W 2011 r. był jednym z laureatów projektu Połów Biura Literackiego; w 2013 r. opublikował pierwszy zbiór poezji, „Moje przesłanie do pokolenia współczesnych trzydziestolatków“.

Anna Hyde (Anna Błasiak) studiowała historię sztuki w Warszawie, filmoznawstwo w Krakowie i zarządzanie sztuką

w Londynie. Przetłumaczyła ponad 30 książek z angielskiego na polski (głównie literaturę dziecięcą, w tym „Szpiega mimo woli“ Anthony’ego Horowitza), a także fikcję z polskiego na angielski (Mariusz Czubaj, Wioletta Grzegorzewska, Jan Krasnowolski, Kaja Malanowska, Daniel Odija, Anna Augustyniak i Mirka Szychowiak). Na polski tłumaczyła także poezję (Maria Jastrzębska, Mary O’Donnell, Nessa O’Mahony). Pracowała też w muzeach i stacji radiowej, redagowała czasopisma i pisała na temat sztuki, filmu i teatru. Pisze poezję po polsku i po angielsku.

Jolanta Kossakowska jest polskim muzykiem, pisarką, redaktorką i tłumaczką z angielskiego i niemieckiego. Studiowała w Instytucie Azjatycko-Afrykańskim na Uniwersytecie w Hamburgu i na Wydziale Orientalistycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Współpracowała m. in. z Krytyką Polityczną, Światem Literackim, Muzeum Sztuki Współczesnej w Warszawie i magazynem społeczno-kulturalnym (op. cit.,). Jej opowiadania - zapiski z podróży fikcyjnej postaci, profesora Schwarzenfussa - ukazały się drukiem w zbiorze „Doświadczenie świata, doświadczenie lektury“ (DIG, 2011). Jolanta jest wokalistką zespołu Mosaik (łączącego wczesną, tradycyjną muzykę polską z wpływami Orientu) i muzykiem w etno-punkowej grupie Pochwalone, a także zajmuje się muzyką współczesną i alternatywną.

James Lattimer jest tłumaczem, redaktorem i kuratorem filmowym. Mieszka w Berlinie i w 2012 r. ukończył magisterium z filmoznawstwa i iberystyki na Freie Universität Berlin. W 2008 rozpoczął pracę dla Berlinale Forum, a do jego komitetu selekcyjnego dołączył w 2011. Jako dziennikarz filmowy regularnie pisze dla magazynów Slant i The Notebook serwisu Mubi. Jego pierwszy projekt filmowy, „Our Body“ (zrealizowany z Dane Komljenem), był wyświetlany podczas Tiger Awards Competition for Short Films na tegorocznym festiwalu filmowym w Rotterdamie i otrzymał tam nominację w kategorii Najlepszy Europejski Krótkometrażowy Film Roku.

Elisabeth Meister jest mieszkającą w Sydney tłumaczką i magistrem historii i lingwistyki. Tłumaczy od czasów studenckich, a w 2003 r. przeprowadziła się do Australii, gdzie zdobyła akredytację NAATI. Lubi podróże, czekoladę, teatr i książki, choć niekoniecznie w tej kolejności, i zajęła drugie miejsce w konkursie tłumaczeniowym AUSIT w 2013 r. za pracę

nad wielokrotnie nagradzonym filmem Cate Shortland pt. „Lore“.

Ulrike Nichols ma doktorat z germanistyki, a przekładem zajmuje się zawodowo od 2007 r. Specjalizuje się w tekstach o medycynie i jej historii oraz marketingu, a także przygotowuje przyszłych tłumaczy do egzaminu translatorskiego organizowanego przez Chartered Institute of Linguists. Urodziła się i wychowała w byłych Niemczech Wschodnich; po upadku Muru Berlińskiego wyjechała, aby studiować w Wielkiej Brytanii, Niemczech i Stanach Zjednoczonych. Obecnie mieszka w Wielkiej Brytanii z mężem i dwiema córkami. Lubi śpiewać w chórach, odwiedzać rodzinę w Niemczech, gotować i chodzić do teatru.

Christine O'Neill jest badaczką, redaktorką i tłumaczką (z angielskiego na niemiecki i na odwrót), specjalizującą się w literaturze, lingwistyce, sztuce, kulturze, edukacji i tekstach akademickich. Napisała doktorat o stylistycznych aspektach „Ulissesa“. Opublikowała między innymi książkę „Zerrinnerungen: Fritz Senn zu James Joyce“ (Verlag Neue Zürcher Zeitung, 2007), która ukazała się też jako „Joycean Murmoirs: Fritz Senn on James Joyce“ (Lilliput Press, 2007). Po wieloletniej pracy w Fundacji im. Jamesa Joyce’a w Zurichu przeniósła się do Irlandii, gdzie wykładała w St Patrick’s College Drumcondra i pracowała w Arts Council, Irlandzkim Muzeum Sztuki Współczesnej i Ireland Literature Exchange.

WYKAZ ILUSTRACJI



- p332 Idąc w zaparte © Oisín McGann
p341 Kto pod kim dołki kopie... © Oisín McGann
p346 Śnieżna kula © Oisín McGann
p358 Liczby nie kłamią © Oisín McGann
p381 Palenie mostów © Oisín McGann
p405 Uczniowie nad Bałtykiem © Aleksandra Lyzniak
p414 Warsztaty pt. „Teatr Podstacji“ na ILB © Birte Hendricks
p420 Stacje Pogody w Tallaght © Jonathan Stokes
p426 SkyPark w hotelu Marina Bay Sands © Tony Birch
p428 Szukanie żywności © Footscray City College
p446 Madeleine Jolliffe i Anas Ahmadzai podczas warsztatów Stacji Pogody © AMSI
p456 Xiaolu Guo © Aleksandra Lyzniak
p456 Mirko Bonne na ILB, 2014 2 © Ali Gandtschi
p457 Witaj Jasiu © Birte Hendricks
p457 Oisín McGann odwiedza Berlin © Birte Hendricks
p458 Tony Birch na ILB, 2014 © Ali Gandtschi

Weather Stations